Helska Bliza

9.02.2001 r. Nr 3 (100) cena 2,50 zł

ISSN 1507-1542

DWUTYGODNIK STOWARZYSZENIA "PRZYJACIELE HELU"

Redakcja "Helskiej Blizy"
Redaktor Naczelny
Pan Mirosław Kuklik
Szanowny Panie Redaktorze,
Szanowni Państwo,

"Helska Bliza" niepostrzeżenie weszła i pozostaje w naszym życiu - prywatnym i publicznym. Towarzyszy mieszkańcom Helu przy narodzinach, w przedszkolu i szkole, w kościele, w wydarzeniach radosnych i ostatniej drodze.

Jest obecna podczas pobytu w naszym mieście prezydentów, posłów, ministrów i książąt. Bywa na sesjach Rady Miasta. Rzadko chwali, częściej gani - taka jej rola. Patrzy na ręce władzy, aby nie zapomniała po co i dla czyich interesów została wybrana.

Wszystkim twórcom "Helskiej Blizy" gratulujemy i dziękujemy!

Życzymy kolejnych setnych numerów!

„Prawdziwie dobre rzeczy robią jedynie hobbyści"

Z wyrazami szacunku

Rada Miasta Helu
Przewodniczący Rady
Tadeusz Klajnert

Redakcja
"Helskiej Blizy"

Z okazji ukazania się setnego numeru "Helskiej Blizy" wszystkim, którzy nie szczędzili trudu i wysiłku w powstanie tej lokalnej gazety oraz kontynuatorom, składamy serdeczne podziękowania.

Życzymy Państwu jak najwięcej dobrych i ciekawych pomysłów oraz zapału do dalszej twórczej pracy.

Zarząd i pracownicy
Urzędu Miasta w Helu

ZŁOTE GODY

W 1951 r. Bronisława i Stanisław Gaffka zawarli związek małżeński.

2 lutego 2001 r., w 50 rocznicę tego wydarzenia, w sali ślubów Ratusza, w obecności kierownika USC Grażyny Muży odnowili przyrzeczenie małżeńskie. Przewodniczący Rady Miasta Tadeusz Klajnert i burmistrz Mirosław Wądołowski wręczyli im, przyznane przez prezydenta RP, medale za długoletnie pożycie małżeńskie .

Dostojni jubilaci dochowali się 3 dzieci, 6 wnuków i 2 prawnuków.

Były życzenia i wiązanki kwiatów.

Do życzeń przyłącza się redakcja HB.

DZIEJE HELU

(10)

STARY HEL cz.1

Wielokrotnie powtarzane i przetwarzane podanie opowiada o bogatym mieście leżącym w pobliżu cypla Helu, którego mieszkańcy żyjąc ze zbytku pochodzącego z "nie do końca uczciwie" uzyskiwanych dochodów, pogrążyli się w bezbożności i rozpuście. Dlatego też, gdy pewnej niedzieli, a było to w Zielone Świątki, śpiewali podczas Mszy Świętej swawolne piosenki, morze wzburzyło się ogromnie i zatopiło miasto pod swoimi falami. Dziś jeszcze można zobaczyć jego zabudowania gdy, w pogodny poranek, w dniu Zielonych Świątek, popłynie się łodzią nad to miejsce. Widać wówczas zatopione na dnie morza miasto i słychać z głębin głuche bicie dzwonów jego kościoła. Można też zetknąć się z pięknymi, lecz swawolnymi mieszkankami. Biada jednak tym (mężczyznom), którzy tego doświadczą.

Podanie o Starym Helu ma wiele wersji i wątków. Jedno jest pewne, że powstało na kanwie rzeczywistego upadku bogatego miasta, którego ślady widoczne były jeszcze przez kilka stuleci w okolicy tzw. helskiego haka. Nim przejdziemy do omówienia najczęściej podawanych przyczyn upadku Starego Helu, przytoczę kilka relacji naocznych świadków, którzy zetknęli się z jego pozostałościami.

Przypuszcza się, że kres istnienia pierwszej helskiej osady nastąpił w roku 1572, kiedy to wielki pożar ostatecznie strawił to, czego nie zdołało wcześniej pochłonąć morze. Później resztę fundamentów i zgliszczy zasypały lotne piaski, które porosły ostrymi, wydmowymi trawami. Trwał tylko zrujnowany kościół pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, który przez długi jeszcze czas był jedyną ostoją dla niezlutrzonych helan. Dlatego też, w roku 1702, zwizytował go biskup Szembek, który w swoim sprawozdaniu napisał: ***kościół stoi na otwartym polu zupełnie opuszczony, a jego murowane ściany i filary w części tylko są rozwalone.*** Nieco więcej faktów przytoczył doktor Ephraim Praetorius, znany badacz gdański, który przybył w to miejsce 3 lata później - dokładnie 25 czerwca 1705 roku. Towarzyszyli mu helski burmistrz i wójt oraz rodzony brat. Oto, co zanotował on w swoich pamiętnikach, pod tą datą: ***Pojechałem ja, Ephraim Praetorius do Starego Helu nad morzem, zamierzając ruiny starego kościoła oglądać. Został on przez Szwedów zrujnowany, a jego dzwony wyjęto. Po stronie wschodniej, na murze, odnalazłem napisane słowa: 1571 Michel Tuba. Na zewnątrz zaś - również we wschodniej ścianie - całkiem na górze, można zobaczyć trzy osobliwe, ze starannością wykonane otwory, tak duże, że w każdej pomieściła by się głowa ludzka. Stąd pochodzi stara legenda, że znajdowały się w nich czaszki trzech dziewic, które ufundowały ten kościół i tu zostały pochowane. Gdy uległy zepsuciu i zmurszeniu, złożone zostały one w te specjalnie wymurowane dziury. Były one widziane przez bardzo starych ludzi, którzy niedawno zmarli. Teraz jednak kości te już nie istnieją, bo najprawdopodobniej powypadały. O tym wszystkim zapewnił mnie obecny wójt, człowiek leciwy i do tego urodzony na Helu, o nazwisku Daniel Meyer, mówiąc, że to wszystko prawda".*** Samotne mury świątyni wkrótce jednak rozebrano, aby pozyskać materiał na rozbudowę luterańskiego kościoła w Nowym Helu. Rozbiórki tej dokonano tak skrupulatnie, że przez następne 200 lat nie można już było się dopatrzeć nawet śladów dawnego miasta. O istnieniu w tym rejonie starej osady świadczyły tylko lokalne nazwy topograficzne, np.: "Ruiny Starego Helu", czy "Starohelski Hak". Natomiast rybakom pławiającym na pobliskich wodach często zdarzało się wydobywać ludzkie szczątki kostne, pochodzące z rozmywania dawnego cmentarza, dlatego też toń tę nazwali "cmentarną". Ponownie, na materialne ślady istnienia Starego Helu, natrafiono podczas prac hydrotechnicznych i lądowych prowadzonych podczas budowy portu Marynarki Wojennej na początku lat 30. ubiegłego stulecia. Rozpisały się o tym fakcie liczne gazety. Na przykład w Gazecie Gdyńskiej z dnia

Plan Okolice Ziemi Helskiej" z drugiej połowy XVII wieku, z zaznaczonym kościołem w Starym i Nowym Helu

26 marca1935 r. napisano: ***Ruiny starego miasta Helu odkryto na dnie morskiem. Podczas prac nad budową portu w Helu, w odległości kilkuset metrów od portu rybackiego, natrafiono na ruiny Starego Helu, który jak wiadomo był pierwszą osadą u końca cypla helskiego i już w roku 1141 posiadał kościół katolicki. Jak się okazało, znajdujące się na dnie szczątki murów pochodzą ze wspomnianej świątyni (...). Około 1705 roku ruiny Starego Helu zostały zalane przez morze, które wtargnęło w głąb lądu. Obecnie przy budowie mola nowego portu natrafiono na fundamenta i szczątki świątyni helskiej, z której jak wiadomo pochodzi słynna na całe Kaszuby cudowna figura Matki Boskiej Swarzewskiej, przeniesiona z kościoła w roku 1527, gdy Hel przyjął wiarę ewangelicką narzuconą z Gdańska. O sile niszczycielskiej morza pod Helem świadczy fakt, że na ruiny natrafiono pod grubą warstwą mułu i na głębokości dość znacznej pod powierzchnią wody.*** Inną relację, prawie w tym samym czasie, zamieścił popularny "Ilustrowany Kurier Codzienny". Pod sensacyjnym tytułem "Tajemnice Bałtyku - dno morza odsłoniło tajemnice sprzed 500 lat", napisano w nim: ***Przy pracach nad budową portu w Helu kierownictwo robót natrafia od dłuższego czasu na szczątki murów i fundamentów, które się znajdują pod powierzchnią morza na kilkumetrowej głębokości. Jak się okazuje, są to ruiny ongiś pierwszej osady na Helu, która w początkach XIV-wieku podniesiona została do godności miasta. Obok tej pierwszej osady w 1430 powstała druga osada, stanowiąca dziś kąpielisko Hel. Stary Hel po wojnie szwedzkiej w 1629 roku uległ zniszczeniu. Odkryte obecnie szczątki fundamentów i murów na dnie morskiem, pochodzą z pierwszego kościoła katolickiego w Helu, który zbudowany został w XII wieku. Liczne nawałnice i burze z końcem XVII wieku teren Starego Helu zniszczyły, a morze wtargnęło w głąb i zalało całkowicie Stary Hel. Obecnie podczas budowy mola portowego natrafiono na ruiny przy pogłębianiu dna. Odkrycie to jest o tyle ciekawe, że rybacy helscy, mówiąc o zatopionym mieście, mieli słuszną rację. Ruiny bowiem znajdują się o kilka metrów od brzegu, na głębokości nieznacznej, pod grubą warstwą mułu.*** O śladach Starego Helu wspomniał również Włodzimierz Steyer w popularnej powieści "Samotny Półwysep": ***...Gdy zaczęto rozkopywać teren pod nasadę portu wojennego w niewielkim łuku zatoki, odkopano ślady osiedla, i nie tylko osiedla, ale i nawy kościelnej, i cmentarza. Powiadomiono Toruń, wtedy siedzibę wojewody. Przybyli naukowcy - specjaliści. Na całe szczęście ich poszukiwania w lesie nadbrzeżnym, gdzie opodal miał stanąć warsztat mechaniczny, nie stały w kolizji z budową portu. Kierownik budowy przesunął nawet trasę kolejki wąskotorowej trochę w bok, aby nie przeszkadzać badaniom.*** Trudno jednak dociec, czy rzeczywiście badania takie zostały przeprowadzone, czy też - ponaglane terminami wykonania robót - dowództwo Marynarki Wojennej nie pozwoliło w końcu na czasochłonne badania. Jak na razie nie udało się natrafić na jakikolwiek ślad ich odnotowania: czy to w archiwach, czy też w opublikowanych materiałach. Nie jest jeszcze za późno. Przy możliwym - mam nadzieję - porozumieniu dowództwa Marynarki i badaczy - być może udałoby się przeprowadzić choćby sondażowe, ograniczone z konieczności, badania archeologiczne. Stary Hel bowiem, wciąż jest dla historyków wielką zagadką, której rozwikłanie mogłoby rzucić więcej światła na niezapisane dzieje naszego miasta. Póki co możemy tylko teoretyzować o jego tragicznym losie. Czemu poświęcimy następny odcinek.

Wrońcew Kuklik

Wydanie 100 numerów naszej lokalnej gazety to wynik już całkiem niezły. Chociaż - przyznać trzeba - że okres 4 lat i 3 miesięcy, jaki upłynął od ukazania się pierwszego numeru "Helskiej Blizy" do dziś, to tak niewiele w życiu dorosłego człowieka. Jednak, przeglądając kolejne numery naszej gazety, uważam, że była to epoka. Z żadnego okresu w historii naszego miasta nie udało się bowiem udokumentować na trwałe tak wielu faktów. Przed okresem "blizowym" z całą pewnością również wiele działo się w Helu, ale większość z tych wydarzeń - niestety - umarło lub umrze śmiercią naturalną wraz z odejściem ich naocznych świadków. I w tym doszukuję się największej wartości naszej gazety: dała opisywanemu okresowi (ograniczoną oczywiście) nieśmiertelność, utrwalając na swoich łamach lokalne, ulotne historie. Wartością "Blizy" - moim zdaniem - było także to, że w okresie, gdy większość z nas wolała sięgać po łatwe i popularne formy rozrywki, dawała ona - o ile to było możliwe - również treści edukacyjne, co nie jest powszechne we współczesnych mediach. Ograniczając do minimum komercjalną sensację, staraliśmy się tworzyć gazetę nieco ambitniejszą, której nie pozbywa się po pierwszym czytaniu, a zachowuje się jako źródło informacji. Udowodnił to nasz konkurs pokazując, że w wielu domach (nie tylko helskich) "Bliza" zagościła na stałe i to od samego początku. Sukces komercjalny nigdy nie był naszym naczelnym celem - nie ulegliśmy powszechnym naciskom politycznym czy też populistycznym. Udało się zachować pewien charakter pisma. Można oczywiście mieć wiele zastrzeżeń co do jego poziomu. Nie zapominajmy jednak, że "Bliza" jest tworzona przez amatorów, poświęcających dla niej swój cenny, prywatny czas.

Dla mnie - osobiście - 100 numer "Helskiej Blizy", to setne wzruszenie związane z odbieraniem świeżej gazety, na której utrwalone zostało pewne działanie. Pozwalało to, choć na chwilę, czuć się twórcą lokalnej historii. Pisanie do "HB" zmusiło mnie również do ambitnych poszukiwań zachowanych śladów dawnych dziejów naszego miasta - wszak słowo pisane zobowiązuje. Wiedzą o tym dobrze również wszyscy ci, którzy często mają do nas pretensje, że nie opisaliśmy tego czy innego bulwersującego faktu. Zawsze jednak przypominaliśmy i przypominamy: "Helska Bliza" jest gazetą wszystkich helan, zarówno tych tu mieszkających, jak i tych, tylko sympatyzujących z naszym miastem. Pozwalamy pisać na jej łamach wszystkim ludziom, którzy tylko mają na to odwagę. Stale więc zapraszamy do współpracy.

Mirosław Kuklik

Na początku był DONOS.

To był dziwny w Helu czas. Miasto trwało niezmienne w swej gospodarczej, społecznej i politycznej strukturze. W Morską skręcano rzadko, a tablicę informacyjną na starej stajni (wówczas magazynie i garażu) czytali nieliczni ale właściwi. Od czasu do czasu pojawiały się tam przyrodnicze plakaty i informacje o działalności naszej placówki i ... Przyjaciół Helu. Już pięć lat siedzieliśmy w doraźnie skleconych kontenerach, co bardziej przypominało zaplecze budowy niż badawczą stację. Mieliśmy jednak pierwsze dwa komputery. Sprzęt drogi wówczas jak trzy "maluchy" za sztukę i od razu podejrzany - o zdolności produkcji materiałów wywrotowych. Ale to on posłużył nam do wykonania "pradziadka" dzisiejszej Helskiej Blizy (HB).

Bardziej ulotka niż gazetka - DONOS (nr 1) - donosiła władzy i obywatelom miasta o sformalizowaniu w dniu 26 IV 89 r struktury stowarzyszenia i wyborze jego nowych władz. Pojawiła się w kilkudziesięciu punktach na mieście i w kiosku. Zawiadamiała o planach spotkań, donosiła o faktach, zawierała dwa ogłoszenia i dwie plotki. Drugi DONOS wyszedł 27 maja. Miał na pierwszej stronie prócz tradycyjnej winiety felietonowy wstępniak wyborczy. Strona druga to tradycyjne rubryki: plany , plotki, fakty, ogłoszenia i jedna - jednozdaniowa recenzja (!) cyt. "1 MAJA w Helu. Forma obraziła ideę". Tak krótko potrafiliśmy wówczas pisać i wyrażać swoje myśli.

Od trzeciego numeru DONOS miał już 4 strony. Jednak numer czwarty (i chyba piąty) były tylko jednostronnymi ulotkami do powieszenia na ścianie, w oknie lub na płocie. Szukaliśmy wówczas kandydata na Naczelnika Miasta, a "miasto" zastanawiało się, kogo Naczelnikiem zrobią.

Od numeru szóstego DONOS wspomaga Pan Sylwester Ostrowicki. Zdobywa informacje, redaguje własne teksty, powiela, pomaga w kolportowaniu pisma. DONOS trafiał wówczas głównie do tych mieszkańców, którzy mając nawyk regularnego czytania gazet i tygodników posiadali w kioskach swoje prasowe teczki. Co pewien czas znajdowali tam kolejną helską "gazetkę". Pozostałe egzemplarze były wykładane na lady, trafiły do biur. Oczywiście była to "gazeta" bezpłatna.

Po roku DONOS mutuje w "eko DONOS". Wiadomości innej natury niż pro-przyrodnicze znajdują w Helu inną formułę przekazu. Tematyka miasta zaczyna pojawiać się w lokalnych dziennikach i tygodnikach. Pan Sylwester staje się częstym korespondentem tych gazet. W ówczesnym tyglu spraw społecznych i politycznych informacje pro- przyrodnicze nie były dla nich priorytetem.

Za to nasza "gazetka" wychodzi teraz na tzw "ekologicznym" papierze - szarym lub zielonym, dostarczanym do Helu przez Przyjaciół z Wiednia. Przoduje w tym Wojtek Kubalewski z rodziną i przyjaciółmi. Przybywa ilustracji. Wielką pomocą służy gazetce Pani Lidia Rydz, przepisując niektóre i robiąc korektę większości zamieszczanych tekstów.

Jako ciekawostkę podam, iż 11 numer DONOS-u z 16 listopada 1990 roku zawiera listę rodzimych gatunków drzew i krzewów najwłaściwszych do nasadzeń w naszym mieście. Kto to pamięta ?

W czternastym numerze zamieszczamy tekst o fokach i wywołujemy chyba "wilka z lasu". Pół roku później musieliśmy już zająć się taką jedną na poważnie. Pojawienie się Balbiny zakręciło moim życiem i życiem Helu. Na DONOSY zaczęło brakować czasu.

Ostatni - szesnasty "eko DONOS" wydaliśmy z datą 6-7 maja 1993 roku. Pisaliśmy w nim, że 27 kwietnia przedłożyliśmy Radzie Miasta sprawę ewentualnej budowy miejskiego (!) "Foczarium" (taki był pierwowzór nazwy naszego kompleksu hodowlano-rehabilitacyjnego dla fok). Ten numer DONOSU zawiera jeszcze jedną historycznie ważną informację, a mianowicie pierwszy tekst o pojawieniu się babki byczej w wodach naszej Zatoki. Na ostatniej stronie artykuł "Forsa w kuble". Tekst aktualny i dzisiaj. Po ośmiu latach sprawa segregacji śmieci w Helu praktycznie nie ruszyła z miejsca.

Jest za to "Helska Bliza". Dwutygodnik, który trudno wyrzucić do śmietnika.

Gdy ją tworzyliśmy, nie śmiałem marzyć o kolorowej okładce i regularności wydawniczej. Na szczęście, mojemu koledze, a zarazem nowemu prezesowi stowarzyszenia, udało się zjednać dla tej idei wspaniałych ludzi.

Dziękuję wszystkim piszącym za teksty: małe i duże, trudne i łatwe, wyrafinowane, subtelne i ciekawe, zwariowane oraz najzwyklejsze. Dziękuję za wysokiej jakości i sprawny foto-service oraz za edytorski skład. Dziękuję donatorom za wspomaganie finansowe druku -stron, które o sprawach przyrodniczych nie donoszą. Kioskarzom dzięki za pomoc w kolportażu. Malkontentom dzięki za wybrzydzanie.

Wielu znajomych, przyjeżdżając do mnie na wypoczynek, rozpoczyna zwiedzanie Helu od przeczytania zaległych numerów "Blizy". Polecam to tym z Państwa, którzy prowadzicie wynajem pokoi. Podanie rano do "HB" filiżanki kawy lub herbaty wzbogaci wszystkich. Bo "HB" na nocnym stoliku wczasowicza, to promocja nas i naszych helskich spraw.

Jedna uwaga. W stosownej chwili wytłumaczcie proszę co oznacza słowo bliza. Wielu z gości wstydzi się zapytać. Powodzenia.

Krzysztof E. Skóra

Na początku był pomysł...

- ROZMOWA Z SYLWESTREM OSTROWICKIM, PIERWSZYM REDAKTOREM ODPOWIEDZIALNYM HELSKIEJ BLIZY

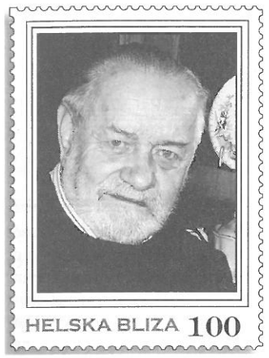

Mamy nadzieję, że nowe dziecko Przyjaciół Helu zostanie przyjęte życzliwie - napisał Pan oddając do rąk helan przed ponad czterema laty, 15 listopada 96 roku, pierwszy numer Helskiej Blizy: sześć czarno białych stron za pięćdziesiąt groszy. Sto egzemplarzy gazety rozeszło się błyskawicznie. Porozmawiajmy o narodzinach i niemowlęctwie tego dziecka.

- Z myślą wydawania lokalnego pisma nosiłem się od dawna, lecz szansa na jej urzeczywistnienie pojawiła się wraz z powstaniem Stowarzyszenia Przyjaciele Helu. Przedstawiłem pomysł członkom stowarzyszenia, spotkał się z uznaniem, a ponieważ przez kilka lat byłem korespondentem Dziennika Bałtyckiego i redaktorem naczelnym Echa Ziemi Puckiej, powierzono mi organizację przedsięwzięcia. W tworzeniu Blizy wybitnie pomogli nam p.p. Alicja i Jarosław Czyszkowie. Przez kilka pierwszych numerów ściśle z nami współpracowali, inspirowali zespół redakcyjny, zaprojektowali szatę graficzną, sporządzali matrycę. Początkowo pracowaliśmy prymitywnym, manufakturowym sposobem: przez niemal rok powielaliśmy pismo na kserokopiarce. Nakład szybko rósł, więc kupiony przez stowarzyszenie sprzęt rychło zepsuł się. Pomógł Ratusz dając, w zamian za udostępnienie łamów, papier i możliwość korzystania z kopiarki. Było to jednak tymczasowe rozwiązanie i ostatecznie zdecydowaliśmy, że będziemy dostarczać matryce do drukarni w Redzie. Gotowe numery przywoziliśmy do Helu. Znacznie poprawiła się wówczas jakość naszego dwutygodnika.

Nie każdy wie, że bliza oznacza po kaszubsku latarnię morską. Kto był autorem tytułu gazety?

- Publikowałem niegdyś w "Echu Ziemi Puckiej", sygnowany podpisem Latarnik, cykl felietonów zatytułowanych "Z helskiej blizy". Postanowiłem do nagłówka powrócić, bo budzi zainteresowanie, brzmi intrygująco dla przybyszów.

W początkach istnienia gazety wykrystalizowały się stałe rubryki adresowane do środowisk tworzących lokalną społeczność. Postawił Pan sobie za cel pokazanie jak najpełniejszego obrazu miasta.

- Tak. Z pomocą naprawdę nielicznego grona współpracowników udało nam się - sądzę - całkiem dobrze realizować tę koncepcję. Stałe miejsce na łamach miały wszystkie helskie instytucje. Regularnie przedstawialiśmy aktualności z Ratusza. Pani Małgorzata Strachanowska redagowała Głos Młodych, przekształcony później w stronę ***Z życia Szkoły***, o sprawach żywo obchodzących rybaków i Kaszubów pisała pani Maria Głodowska, a wiadomości z garnizonu zawdzięczaliśmy głównie pani Violetcie Nowak, która również zaznajamiała czytelników z historią i tradycją Marynarki Wojennej. Osobną rubrykę poświęciliśmy Kościołowi katolickiemu, ponieważ działamy w społeczeństwie wierzących, praktykujących i nie sposób głosu Kościoła pominąć. Drukowaliśmy cykl Lekarz radzi, prezentowaliśmy sylwetki ludzi nie zawsze znanych, a zasłużonych dla miasta.

Jak Pan ocenia dzisiejszą Blizę?

- Oceniam ją dobrze. Wbrew temu, co nieraz słyszę, gazeta stara się informować na bieżąco o życiu mieszkańców. Wzbogaciła szatę graficzną, co jest niezmiernie ważne. Choć, przyznaję, nie wszystkim podoba się formuła pisma: spodziewają się stałych rubryk, do których się przyzwyczaili, kalendarza na koniec roku, rozkładu jazdy... Mnie brakuje na przykład pełnej, systematycznej informacji z życia wojska. Radziłbym pytać ludzi, czego od was oczekują.

Co uważa Pan za swój największy sukces jako redaktora odpowiedzialnego HB?

- Największym sukcesem były dowody uznania ze strony mieszkańców, którzy kupowali pismo, często zatrzymywali mnie na ulicy, mówili: "dobrze to robicie" albo podsuwali nowe tematy, co pozwalało zmieniać profil gazety stosownie do potrzeb czytelników.

Niezwykłą przyjemność sprawiło mi również wyróżnienie Blizy w konkursie dla niezależnej prasy lokalnej organizowanym przez Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej. Zostaliśmy nagrodzeni za entuzjazm. Ucieszyłem się, że pośród kilkuset nadesłanych tytułów zauważono skromne pisemko, z ubogą szatą graficzną, wydawane bez jednego etatu, tylko dzięki zaangażowaniu i pracy społecznej wielu ludzi i doceniono właśnie entuzjazm, bez którego gazeta nie mogłaby powstać.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Agnieszka Grądkiewicz

Pracę redakcyjną w "Helskiej Blizie" wspominam z wielkim sentymentem, ponieważ było to kolejne miłe i pouczające doświadczenie. Z dużym zapałem zabraliśmy się do redagowania tej, na początku skromnej gazetki.

Co tygodniowe, środowe spotkania w salonie u Sylwestra Ostrowickiego, miały co najmniej charakter "obiadów czwartkowych u króla Stasia". Halinka Ostrowicka na każde redakcyjne spotkanie przygotowywała coś wykwintnego, a to rogaliki, a to wspaniałą drożdżówkę, wszystkich smakołyków już nie wymienię. Motorem całego przedsięwzięcia był oczywiście Sylwester. Czytanie przygotowanych materiałów, dyskusje, przeciągały się nieraz do późnych godzin wieczornych.

Pomysłów mieliśmy sporo i zazwyczaj były one akceptowane przez redaktora odpowiedzialnego. Z wielką sympatią i atencją wspominam współpracę z Małgosią Strachanowską, która była iskierką w naszym zespole. Dostarczała interesujących i niebanalnych materiałów z życia szkoły i nie tylko, chociażby ciekawa rubryka "Jedliśmy u". Małgosia miała styl i charakter w tym co pisała.

Ciekawą oprawę graficzną robiła utalentowana Alina Wiekiera i profesjonalistka Beata Pisarska, zwłaszcza karykatury Beatki były bardzo trafne. Była i moja, którą powiększyłam, oprawiłam w ramkę i powiesiłam na ścianie. Jest to jedyna pamiątka po tej dwuletniej przygodzie w "Helskiej Blizie".

Maria Głodowska

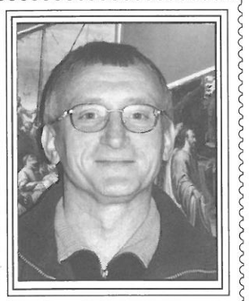

Helską Blizę poznałem wraz z jej pierwszym numerem. Stałem się wówczas jej wiernym czytelnikiem. Dwa czy trzy razy nawet coś do niej napisałem. Z radością, ale i pewnym niepokojem przeczytałem jej kolejny, wydany po ponad trzymiesięcznej przerwie 52 numer, w którym Mirosław Kuklik pytał „czy Bliza powróci?"

W styczniu 1999 r. wstąpiłem do Stowarzyszenia "Przyjaciele Helu". Zaproponowano mi wówczas, abym napisał relację ze spotkania władz miasta z posłem Franciszkiem Potulskim. Spróbowałem i wraz z Mirkiem i Ryszardem Kretkiewiczem, przy pomocy paru innych życzliwych osób, skleiliśmy następny numer HB. W kolejnym "Deptanie historii", w następnym relacja z sesji i tak już zostało. Zmieniała się szata graficzna gazety, powiększał się skład zespołu redakcyjnego i wspólnie dociągnęliśmy do "setki".

Zawsze podkreślałem swoją tymczasowość w gazecie. Wolę przepisywać teksty czytelników niż sam je pisać.

Dziękuję Magdzie Jezierskiej, która uczyła mnie pierwszych kroków stawianych przy obsłudze przerażająco skomplikowanego urządzenia jakim był komputer. Bez jej cierpliwości już dawno dałbym sobie spokój. Dziękuję i jeszcze raz przepraszam... - Magda wie za co.

Dziękuję Ryszardowi Kretkiewiczowi za nowe i twórcze pomysły, za wspaniałe zdjęcia i skład. Jest „motorem" gazety i bez niego Bliza nie byłaby taka jak dziś. Jak go znam, to ma już pomysł na numer 200.

Dziękuję stałym i okazjonalnym czytelnikom, bo to dzięki nim gazeta istnieje. Nie sztuką jest robić gazetę, sztuką jest ją sprzedawać. I w tym miejscu ukłon w kierunku tych wszystkich, którzy bezinteresownie nam w tym pomagają.

Co dalej?

Ciągle liczę na większą aktywność czytelników, na więcej listów, na stałe, współtworzone przez zainteresowanych działy. Liczę, że Bliza - nie ważne przez kogo redagowana - będzie trwała.

Więc do dwusetnego...

W. Waśkowski

Moja współpraca z Helską Blizą zaczęła się od spotkania z p. Agnieszką Grądkiewicz, która napisała wtedy artykuł zatytułowany "Medycyna z piasków", a miesiąc później drugi, odtwarzający moment otwarcia w Warszawie wystawy poświęconej służbie zdrowia Rejonu Umocnionego Hel we wrześniu 39 r. Później, w związku z działaniami podjętymi w kierunku prawnej ochrony helskich historycznych budowli militarnych, poproszono mnie, abym zaprezentował historię zabytków militarnych i związanych z nią nierozerwalnie ludzi. Wspólnie z p. Violettą Nowak napisaliśmy cykl artykułów traktujących o mało znanych budowlach obronnych Półwyspu Helskiego. Z okazji 60 rocznicy zakończenia obrony Helu ukazało się specjalne wydanie HB w całości poświęcone działaniom wojennym na półwyspie w 1939 roku.

Muszę dodać, że dzięki poznawaniu naszej przeszłości militarnej spotkałem w Helu, w kraju i za granicą wielu ludzi, którzy oprócz tego, że dzielili ze mną zainteresowania, byli prawdziwymi przyjaciółmi naszego wspaniałego miasta.

Romuald Nowak

To było dawno, jakby nie liczyć - sto numerów temu. Poproszono nas o zaprojektowanie kształtu graficznego pisma. Dostępne środki były bardzo ubogie, bowiem cała technologia wydawnicza sprowadzała się do kserokopiowania wydruków komputerowych.Oczywiście wszystko czarno białe, zaś zdjęcia, przy przyjętej technologii, bardzo kiepskiej jakości. W związku z tym postanowiliśmy ilustrować Helską Blizę rysunkami. I tak szło; numer za numerem - nie było tego zbyt dużo, ale początek - dobry początek - został zrobiony.

Alicja i Jarosław Czyszek

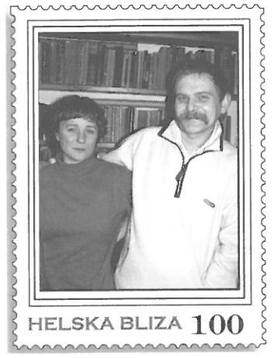

Teksty do Blizy zaczęłam pisać w listopadzie 97 roku. Początkowo miałam zajmować się tylko osobnym działem kulturalnym, ale wnet okazało się, że na wiele nie przydałabym się w nim redakcji: informacje na stronę: "Kultura" nigdy nie były obfite. Ostatecznie więc, tak jak pozostali pisywałam - o wszystkim. Dzięki kontaktom z HB poznałam kilku interesujących ludzi, łatwiej znajduję słowa, by powiedzieć dokładnie to, co zamierzam, poznałam cykl wydawniczy gazety, nauczyłam się nareszcie - zdopingowana przez kolegów redakcyjnych - korzystać z komputera, miałam okazję poobserwować z bliska mechanizmy sprawowania władzy...Dużo to czy mało?

Agnieszka Grądkiewicz

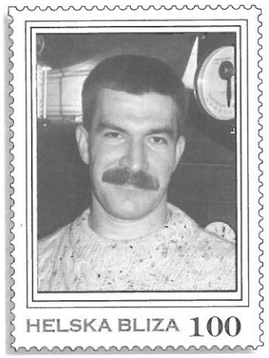

Z Helską Blizą współpracuję od drugiego roku jej istnienia. Gazeta wyglądała wówczas zupełnie inaczej niż dzisiaj - kiepska jakość zdjęć i nierzadko druku, uboga szata graficzna.

Jednak pamiętam entuzjazm pracujących w niej ludzi, przeświadczonych o potrzebie istnienia własnej, lokalnej prasy. I profesjonalizm w nadawaniu Blizie ostatecznej formy przez p. Sylwestra Ostrowickiego. Bolały wówczas słyszane opinie o wysokich zarobkach tworzących zespół. Wszyscy bowiem pracowali społecznie!

Dzisiejsza gazeta jest na pewno inna. Czy lepsza, to kwestia subiektywnej opinii czytelników.

W mojej ocenie jest mniej spójna tematycznie, znikły bowiem niektóre, stałe rubryki.

I chociaż z założenia lokalna, bardziej powinna przybliżać do świata, nie żyjemy bowiem wyłącznie w Helu, ale także w konkretnym miejscu na Ziemi!

Martwi mnie słaby, społeczny odzew wobec słowa pisanego. Tzw. opinia społeczna zadowala się informacją szeptaną, skoro woli wypowiadać się po kątach, zamiast korzystać z niepowtarzalnej okazji, jaką jest otwarte, nieocenzurowane forum dyskusyjne we własnej gazecie! Tak samo jak ja mogą pisać przecież inni. Lepiej lub gorzej, to nie ma znaczenia. Liczy się własne, indywidualne zdanie i opinia na tematy ważne dla mieszkających tutaj.

Jacek Grądkiewicz

Do zespołu redakcyjnego "Helskiej Blizy" należałam w czasie, kiedy odpowiedzialnym za treść był jej twórca, pan Sylwester Ostrowicki. Wkład mojej pracy był niewielki: wykonywałam rysunki, kreskówki do niektórych artykułów. Rysowałam też karykatury helan. Mam nadzieję, że żadnej z tych osób nie uraziłam tym, jak ją widzę. Czasem mieszkańcy Helu zaczepiali mnie na ulicy i prosili, aby skrzywiony wizerunek ich samych albo nielubianego sąsiada zamieścić w gazecie. Bardzo mile wspominam spotkania naszej redakcyjnej grupy, które odbywały się w domu pana Sylwestra, zawsze przy dobrej herbatce i pysznym wypieku jego żony.

Beata Pisarska

Moja przygoda z "HB" zaczęła się od... krytyki. Kiedy koleżanka pokazała mi pierwszy numer pisma, dostrzegłam w nim wiele błędów i niedociągnięć. Ze zdumieniem ujrzałam w stopce nazwisko redaktora - mojego ówczesnego sąsiada. Oczywiście wrodzona złośliwość kazała mi natychmiast wygłosić krytykę - i moje zarzuty zostały odparte wyzwaniem: "to sama spróbuj coś zrobić". Tak znalazłam się w gronie redakcji. Początkowo zajmowałam się działem "wojskowym": informacje "zza bramy", reportaże i wywiady, cykl artykułów o okrętach ... . Kiedy urodziła się Kasia, została wspaniale powitana jako "blizowe dziecko". Dzięki znajomym z "HB" znalazłam pracę: Małgosia Strachanowska udzieliła mi rekomendacji i zostałam nauczycielką w ZSO. Pani Maria Głodowska "podarowała" mi opiekunów dla Kasi - i tak znalazłam w Helu życzliwość, przyjaciół, rodzinę - a wszystko dzięki "HB". Dlatego, choć obowiązków przybywa, wciąż współpracuję z redakcją: robię korektę pisma, od czasu do czasu piszę jakiś artykulik. Spłacam zaciągnięty dług, działam dla środowiska, które uznałam za swoje (mimo że pochodzę z daleka), spotykam się z sympatycznymi ludźmi - cóż więcej? "HB" to moje hobby, źródło radości i kłopotów, czuję się z nią związana.

Violetta Nowak

Współpracę z Blizą zaproponowała mi pani Grażyna Ruszel - Dusza w początkach istnienia gazety. Pierwsze spotkania, nowi ludzie, nowe sytuacje były dla mnie ciekawym przeżyciem. Zajmowałam się oprawą plastyczną, współtworzyłam układ graficzny. Ilustrowałam stronę " Z życia szkoły", czasem artykuły o innej tematyce. Śmiałam się zawsze, że jestem autorką rysunków na zamówienie. Kilka ilustracji wykonała też Ela, moja córka. Wyszukiwałam ludzi sztuki z Helu do prezentowanego przez Blizę cyklu "Helscy artyści - plastycy". Dzięki temu do kolegium redakcyjnego dołączyła pani Beata Pisarska. To był dobry sposób na spędzanie czasu: mniej teorii, więcej praktyki i - kolejne doświadczenie, które z pewnością zaowocuje w życiu.

Alina Wiekiera

Mój "pierwszy raz" był straszny. Przyszłam na spotkanie redakcyjne zimą zeszłego roku i tak się bałam ewentualnej lustracji, że zamiast pić herbatę przygotowaną ze znawstwem przez p. Wojtka, walczyłam z pokusą schowania się do solidnej szafy (gdańskiej?) red.naczelnego. Szybko zorientowałam się jednak, że zespół redakcyjny HB tworzą życzliwi, ciepli i normalni ludzie, więc zdecydowałam się pozostać z nimi "na dobre i na złe". Teksty, które "popełniam", dotyczą przede wszystkim kultury i turystyki, bowiem pierwsza z tych dziedzin pozwala myśleć, druga natomiast-żyć. Słowem: "być i mieć" w jednym. A tak poważniej, nie wyobrażam sobie przyszłości Helu bez rozwoju turystyki napędzającej i tworzącej całą infrastrukturę, a także nie wyobrażam sobie życia na pustyni kulturalnej,` gdzie etos intelektualisty można między bajki włożyć.

Iwona Rusajczyk

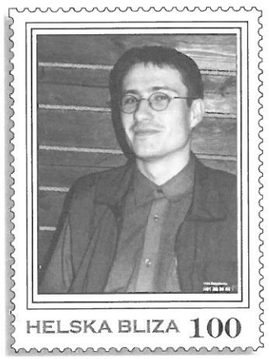

Jestem dziennikarzem z przypadku. Chociaż może dziennikarz, to za dużo powiedziane. Ot, zacząłem pisywać do gazet i czasopism. Ale czy już można nazwać siebie dziennikarzem? W końcu bycie dziennikarzem wydaje się prostą sprawą - siada się do klawiatury i pisze. Czasem przeprowadza się jakiś wywiad, czasem zbiera materiały do większego artykułu, a czasem w 10 minut układa cały felieton. Ważne, żeby fachowo i bez przekłamań.

W tym, że teraz czytelnik "Helskiej Blizy" czyta moje teksty, dużą rolę odegrał przypadek. Przyjechałem do Helu w lipcu 1999 roku, czyli będzie już ponad 1,5 roku temu. Przyjechałem, żeby... przeprowadzić badania terenowe do mojej pracy doktorskiej. Miałem popracować tu przez 2 tygodnie - a siedzę już nieco dłużej.

Zacząłem pracować wśród "Przyjaciół Helu", bo to, czym się zajmują, urzekło mnie swoją prostotą, a jednocześnie wyrafinowaniem. Znalazłem chyba proste przełożenie z monotonnego i wysublimowanego języka nauki o przyrodzie na proste i nieskomplikowane, ale jednocześnie rzetelne, "gadanie" o otaczającym nas świecie. Zostałem też poproszony, a właściwie może lepiej byłoby powiedzieć, że zostało mi to zasugerowane, żebym pisał o przyrodzie także do helskiego dwutygodnika. I tak się to zaczęło.

Na początku było trudno - teksty wychodzące spod mojej ręki napuszone były pompatycznością co najmniej publikacji naukowej dla fachowców. Teraz już wiem, jak istotne jest umiejętne operowanie językiem, w zależności od "pacjenta" - w końcu czym innym przecina się mięśnie, a czym innym tnie kości. Od początku przyświecała mi idea przedstawienia w przystępny sposób czasem zawiłych, a czasem całkiem prostych "ścieżek natury". Parę miesięcy temu zacząłem pisać także o tym, "co mnie gryzie". Nauczyłem się tworzyć małe ikonki "malujące" to, co widzę wokół siebie, co mnie otacza. A że lubię patrzeć na świat z przymrużeniem oka - powstały "Kwaśne Winogrona". Mam nadzieję, że piszę coraz lepiej i odważniej, ale jeszcze wiele drogi praktyki przede mną. W każdym razie wiem, że znalazłem rzecz, która daje mi wiele zadowolenia i satysfakcji. Pierwsze kroki w "Helskiej Blizie" będę zapewne pamiętać, jako dobrą szkołę "na głębokiej wodzie".

Marcin F. Jędrzejczak

POD ŻAGLAMI

Pierwszym tekstem w cyklu "Pod żaglami" chciałabym sprowokować i zachęcić osoby związane, zainteresowane, zorientowane w temacie żeglarstwa, do wypowiedzi na łamach naszego pisma. Szczególnie gorąco zachęcam do pisania ludzi, dla których żeglarstwo stanowi pracę, hobby, pasję, zamiłowanie. Prosimy o refleksje, propozycje, uwagi, sugestie dotyczące możliwości rozwoju żeglarstwa w Helu. Jesteśmy zainteresowani też wypowiedziami osób pełniących funkcje w Urzędzie Miejskim i Morskim, które mogłyby udzielić czytelnikom informacji na temat koncepcji rozwoju portu w Helu, oraz możliwości technicznych związanych z obsługą morskiego ruchu. Jesteśmy zainteresowani, kiedy zostaną zakończone prace w basenie jachtowym i jak będzie wyglądać nabrzeże w ostatecznym kształcie, jakie będą możliwości cumowania jachtów, wodowania, itp. Wszystkie Państwa głosy będą cenne i przyczynią się do przygotowania gruntu dla rozwoju żeglarstwa w Helu. Nie muszę przypominać o wymiernych korzyściach finansowych tak dla miasta, jak i dla nas, mieszkańców. Żeglarstwo to rozwój ogromnej infrastruktury, całej sieci usług związanych z obsługą żeglujących turystów. Przykładem wielki boom gospodarczy na Mazurach, związany z żeglugą śródlądową. Należy zrobić wszystko, aby i Hel zaczął czerpać korzyści z racji swojego usytuowania, aby stał się przyjaznym portem schronienia dla wszystkich żeglarzy, a także prawdziwym centrum żeglarstwa morskiego.

JAK NAS WIDZĄ, TAK NAS PISZĄ

Chciałoby się widzieć Hel pięknym, aby podziwiali go wszyscy. Chciałoby się już z morza widzieć śnieżnobiałe domy z czerwonymi dachami, odbijające słońce i kontrastujące z soczystą zielenią lasu. Rzeczywistość jest nie tylko bardziej szara, ale bardziej tandetna i „ bezgustna". Pozbawione wyrazu prostopadłościenne "wille" o małych oknach, stypizowane bloki, prowizoryczne stragany z równie ohydnymi souvenirami swą szpetotą odwracają uwagę od prawdziwych pereł - zabytkowych chat kaszubskich rybaków. Warto by na pamiątkowej tablicy ulicznej Helu uwiecznić nazwiska kolejnych architektów miejskich...

W zasadzie wszelki komentarz jest tu zbyteczny. Cytat, który przytoczyłam, pochodzi z książki Jerzego Kulińskiego ***"Zatoka Gdańska. Przewodnik dla żeglarzy"***. Sęk w tym, że to nie jedyne krytyczne uwagi na temat naszego miasta. Opis helskiego portu jest równie przygnębiający: ***Mimo swych gabarytów nie jest Hel ani portem pojemnym, ani wygodnym...Atrakcyjność odwiedzenia najbliższego otwartemu morzu portu Zatoki Gdańskiej oraz otarcia się o mityczną "prostą"- stonowana będzie spartańskimi warunkami postoju, polegającymi na mizernym osłonięciu przed falowaniem, trudnościami podłączenia się do sieci elektrycznej, niewygodnym poborem wody i brakiem węzła sanitarnego. Braków tych nie jest w stanie zrekompensować życzliwy dla żeglarzy stosunek bosmanów, którzy z zażenowaniem starają się usprawiedliwić przyczyny tych mankamentów...***

Zupełną grozą wieje z ostatnich zdań rozdziału poświęconego Helowi,cytuję:

Oceniając helski port powstrzymuję się od zachęt do spędzenia dłuższego czasu a zwłaszcza nocy w tym porcie.

Celowo pominęłam szczegółowe dane techniczne w opisie naszego portu, bo ich nie rozumiem i nie potrafię się do nich ustosunkować, ale ten ogólny obraz naszego portowego miasteczka sprzed kilku lat zdaje się być szczery do bólu. Co więcej, w środowisku żeglarzy jest aktualny do dziś. Krążą legendy o niedostępności naszego portu i być może to tłumaczy niechęć żeglarzy do Helu. Cóż, jak dotąd, nie cieszył się dobrą sławą. Szkoda, bo wizerunek miasta i samo nabrzeże portowe zmienia się przecież z roku na rok na lepsze. Ciekawa jestem, czy gdyby teraz ukazał się przewodnik dla żeglarzy, to na ile te wszystkie zmiany znalazłyby swoje odbicie w pochlebniejszych opiniach na nasz temat? Co prawda nie możemy się jeszcze pochwalić Mariną z prawdziwego zdarzenia, nie mamy własnej szkółki żeglarskiej, własnych klubów i jachtów, nie organizujemy regat żeglarskich, końca budowy przystani nie widać, ale powolutku, powolutku...Może z czasem (i z pożytkiem dla wszystkich) powrócimy jeszcze do chlubnych tradycji żeglarstwa w Helu.

Iwona Rusajczyk

Świat z głowy

Kiedy przeczytałam **"Rytuały"** *Ceesa Nooteboома,* poczułam się jak świnia, która wyszukała nosem trufle. Upaja się zapachem, lecz nie potrafi wyobrazić sobie potraw, które z trufli wytrawny kucharz może przyrządzić. Żałowałam, że nie jestem znawcą kultury japońskiej, semiologiem, specem od rytuału parzenia herbaty na modłę orientalną. Łatwiej uporałabym się wówczas ze skomplikowaną metaforyką "Rytuałów". Polecam wyrafinowaną mikropowieść wszystkim lubiącym dobrą literaturę. Rzadko można dziś przeczytać tekst, który pozwala delektować się dialogiem, a główny bohater - Arnold Taads posługuje się słowem sprawnie niczym Chińczyk pałeczkami. Kiedy podczas przyjęcia rozmawia z namiestnikiem kościelnym, mówi o sobie : ***"...stoję na poboczu torów. Już tysiąc razy widziałem, jak przejeżdża pański pociąg. Z pańskiego punktu widzenia, który ma dla mnie ma więcej wspólnego z kataraktą, ja jestem słynnym błądzącym bez winy."***

Zachęcam do uczty duchowej. Każdy odnajdzie w powieści sens dla siebie. Mottem chciałabym uczynić słowa pewnej zaprzyjaźnionej Marii: ***"każdy człowiek rodzi się z własną śmiercią".***

P.S. Książka dostępna w Bibliotece Garnizonowej.

Agnieszka Grądkiewicz

Uwaga

ORGANIZUJEMY

DYSKUSYJNY KLUB FILMOWY W HELU

Poszukujemy ludzi, którzy interesują się sztuką filmową i chcą pomóc w tworzeniu Klubu (informacje, pomysły na cykle tematyczne, kontakt ze stronami internetowymi poświęconymi kinu).

Prosimy o telefon.

675 09 05 lub **0604 809 338**

JAK WARCZY SUM

Ostatnimi czasy na murach wielu domów pojawiły się namalowane sprayem tajemnicze inskrypcje **"JWS"**. Autor tej trzyliterowej enigmy zapewne wiedział co pisze, jednak oglądający mogą mieć wątpliwości co do treści. Proponuję więc możliwe rozwinięcia tego pseudograffiti: **"Jego Wysokość Seler"**, **"Jak Wyskakują Syfy"**, **"Jaram Wasze Skunksy"** lub **"Jak Wy Sikacie"**, opatrzone dodatkowo znakiem zapytania.

Nie jestem przeciwnikiem sztuki malowanej farbą na murach. Na Zachodzie organizuje się nawet happeningi artystyczne z udziałem "graficiarzy". W tym wypadku chodzi jednak o Sztukę, a nie głupawe skróty myślowe (?). Może autor napisów przejrzy jakiś album malarstwa europejskiego i odkryje w sobie twórczą inspirację. Na początek proponuje zakup kilku puszek farby więcej. Wzbogaci to niewątpliwie wizualnie dzieło Mistrza.

J.G.

15 lat pracy szkolnego pedagoga...

Pani Maria Hipnarowicz, od wielu lat pełniąca funkcję pedagoga w helskim ZSO zdecydowała się przejść na emeryturę. Będzie Jej brakowało uczniom, którzy z zaufaniem zwracali się do Niej ze swoimi problemami, nauczycielom, którzy korzystali z pomocy, dobrych rad i doświadczenia pani Majki, dyrekcji, dla której była nieocenionym źródłem wiedzy o wychowankach i pomocą w realizowaniu funkcji wychowawczej szkoły.

Mieszkająca od 26 lat w Helu, pochodzi z Tczewa. Ukończyła liceum pedagogiczne i z "nakazu pracy" trafiła do Godziszewa, gdzie uczyła muzyki i prowadziła nauczanie początkowe w klasach I-III. W poszukiwaniu wiedzy podjęła naukę w WSN (Nauczanie Początkowe z Wychowaniem Muzycznym). Przypadkowo spotkany chłopak w marynarskim mundurze okazał się tym jedynym i porwał ukochaną na Hel- do Helu. Tutaj pani Majka, szczęśliwa mama Oli, została w 1975 roku zastępcą dyrektora szkoły, p. Grażyny Kuliberdy. Wkrótce urodziła się Beatka, a po urlopie macierzyńskim pani Hipnarowicz wróciła do nauczania początkowego, wychowując 2 roczniki uczniów I-III. Zainteresowania skłoniły Ją do podjęcia studiów wyższych na kierunku pedagogicznym i objęcia etatu pedagoga w 1985 roku. Przez wiele lat gromadziła doświadczenia, kierowała losem dzieci, wspomagała rodziców i nauczycieli w procesie wychowania. Zapytana o refleksje, odpowiada;

-Zawód nauczyciela, pedagoga, był moim wymarzonym. 31 lat pracy upłynęło nie wiadomo kiedy. Mimo ogromnego przywiązania do szkoły, uczniów, decyzję o odejściu podjęłam świadomie. Uznałam, że nadszedł czas na odpoczynek od hałasu, problemów i zmartwień. Na pewno będzie mi brakowało tego wszystkiego, czym żyłam przez ponad ćwierć wieku. Jednak przejście na emeryturę nie oznacza zamknięcia się w domu, ucieczki od ludzi. Nadal będę czynnie uczestniczyć w życiu szkoły, miasta. Jako członek Miejskiej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych wciąż udzielam pomocy potrzebującym, wspieram, doradzam. To wchodzi w krew, nie da się tak po prostu odrzucić, zapomnieć, wyłączyć i nagle stwierdzić „przepraszam, ale to mnie już nie obchodzi, ja już nie pracuję." Pedagog nie jest wychowawcą tylko w godzinach pracy- to służba z powołania, nie praca biurowa w gabinecie. Nigdy nikomu nie odmówiłam pomocy, bez względu na czas i miejsce - i będzie tak pewnie nadal. Pomaganie to część mojego życia - i mojej rodziny również. Bywało, że nasz dom stawał się schronieniem dla maltretowanych dzieci, że mąż włączał się do interwencji, a córki dzieliły się tym, co miały. Gdy przybiegało w nocy pobite dziecko, a powiadamiana policja kazała czekać na siebie do rana, co mieliśmy robić? Czy można było zamknąć drzwi i powiedzieć: "przyjdź jutro, porozmawiamy w szkole"? Karmiliśmy, opatrywaliśmy, myliśmy i otaczaliśmy opieką i zrozumieniem, stwarzając poczucie bezpieczeństwa. Nie dla wdzięczności, z którą przecież spotykamy się rzadko, ale dlatego, że tak było trzeba.

-Czy rola pedagoga w ciągu tych wielu lat zmieniła się?

-Zmieniają się czasy i ludzie. Zmienia się młodzież, ma inne zainteresowania, inne problemy, oczekuje innych rozwiązań. Wiele rzeczy jednak pozostaje bez zmian: dzieciom wciąż potrzebna jest pomoc, rodzice potrzebują wsparcia, pokierowania, uświadomienia o istnieniu problemu czy zagrożenia. Istniały i dalej istnieją dzieci bite, odpychane, zagubione, pozbawione rodzicielskiej miłości a nawet opieki i zainteresowania. Pedagog dalej musi i powinien doskonale znać środowisko, jego potrzeby i braki, dostrzegać problemy-

także te, o których nikt go nie informuje. Nie można czekać, aż dziecko przyjdzie po pomoc, czasami samemu trzeba wyciągnąć rękę, stanąć obok, wesprzeć. Pedagog powinien dostrzegać więcej, nie wolno mu przejść obojętnie obok - czasem jest jedyną osobą, która może dziecku pomóc. To ogromny obowiązek, wielka odpowiedzialność za czyjś los, czyjąś przyszłość.

-Obowiązek, powołanie- jakie trudności najczęściej napotyka pedagog?

-Ogromną frustrację powoduje konieczność rozwiązywania problemów nierozwiązywalnych do końca. Nie można poniechać działania, choć czasem wiadomo, że tak naprawdę niewiele można zrobić. Nasze staranie i zaangażowanie często idzie na marne- rozbija się o interpretacje przepisów prawnych, ograniczenia działania instytucji, jak np. sąd, policja, kurator itd. Zmiany w ustawodawstwie zmierzają w kierunku coraz większego ograniczenia naszych możliwości. Kiedy rozpoczynałam pracę, obowiązkiem było dogłębne poznanie środowiska, ciągłe "penetracje", wizyty domowe, rozmowy - może i uciążliwe, nużące, czasochłonne, ale pozwalające na dotarcie do źródeł problemów, na poznanie sytuacji ucznia i rodziny , a w efekcie na udzielenie skutecznej pomocy. Teraz funkcja pedagoga ulega coraz większej biurokratyzacji- statystyki, sprawozdania, a gdzie kontakt z uczniem i rodzicem? Sedno działań zostaje zepchnięte na margines, a przepisy jeszcze ograniczają nasze prawa do działania. Udzielając pomocy dziecku można dziś zostać postawionym w stan oskarżenia np. o bezprawne przetrzymywanie, a badając środowisko ucznia - o naruszanie ustawy o ochronie danych osobowych. Często udzielenie pomocy uczniowi jest uniemożliwiane przez brak współpracy, a nawet pozytywnego nastawienia ze strony domu rodzinnego. Pedagog traktowany jest jak intruz, wtrącający się w nie swoje sprawy, jak wróg ciskający oskarżenia na niewinne dziecko, a jego sugestie przyjmowane są jak zniewagi. Rzadko się zdarza, żeby rodzic okazał zrozumienie i chęć do współpracy, najczęściej "obrywa" się pedagogowi, czasem i dziecku. Wiele razy miałam do czynienia z rodzicami, którzy najpierw posądzali mnie o uprzedzenia względem dziecka, nie przyjmowali do wiadomości sugerowanych zagrożeń, odrzucali oferowaną pomoc. I zdarzało się, że ci sami rodzice zjawiali się ponownie, gdy problem stawał się już zbyt wielki - i wtedy znów padały oskarżenia, że szkoła nic nie robi, że rodzic nie daje sobie rady, nie ma kontaktu z dzieckiem, chce pomocy. Czasem korciło, żeby powiedzieć:" a nie mówiłam", ale rodzic nie pamiętał o wcześniejszych rozmowach, zrzucał winę na wszystkich wokół, żeby tylko oczyścić siebie, nie czuć się odpowiedzialnym. Częsty brak współzależności między wkładem pracy a efektami bywa źródłem zniechęcenia, na które jednak nie można sobie pozwolić, mając na uwadze dobro dziecka - podstawowy cel naszej pracy. Nie możemy skupiać się na efektach, które często występują w postaci odroczonej, nie są widoczne, zależą od czynników, na które pedagog nie ma wpływu, od harmonijnego współdziałania ludzi i instytucji. Musimy widzieć tylko dziecko- i jego problem i szukać możliwie najlepszych rozwiązań. Satysfakcja pojawia się czasem dopiero po latach: podziękowanie ze strony już dorosłej osoby, kartka na święta jako dowód pamięci, informacja o życiowym powodzeniu osoby, którą się "wyciągnęło" z kłopotów. Najczęściej musi wystarczyć świadomość dobrze spełnionego obowiązku. Ale nie zamieniłabym tej pracy na inną. Przeżyłam wiele trudnych chwil, ale też wiele wzruszeń i przyjemności.

-Po Pani odejściu etat pedagoga ma zostać zlikwidowany, pozostanie jeden pedagog dla całego ZSO. Czy to wystarczy?

- Nie wystarczy. Takie posunięcia są znakiem czasu, wynikają z trudności finansowych i konieczności czynienia oszczędności. Czy jednak wyjdą komuś na dobre? Na pewno nie dzieciom, które potrzebują naszego czasu i zaangażowania. Do tej pory obydwie z koleżanką miałyśmy "pełne ręce roboty". Teraz będzie musiała podołać wszystkiemu sama. Życzę jej powodzenia i wytrwałości, bo czeka ją niełatwe zadanie.

c.d. na str.10

15 lat pracy szkolnego pedagoga...

cd. ze str. 9

-Czasem wydaje się, że planując oszczędności i redukcje zapomina się o tym, żeby widzieć dalej i przewidywać skutki decyzji na dłużej, niż rok czy dwa. Dzieci, na których edukacji i rozwoju teraz się oszczędza, mogą kosztować miasto i państwo w przyszłości (całkiem niedalekiej) o wiele więcej, niż pobory pedagoga, nauczyciela, wychowawcy czy inwestycje kulturalne w dniu dzisiejszym. Dziękuję za rozmowę i mam nadzieję, że ja i moi koledzy- nauczyciele nadal będziemy mogli korzystać z Pani wiedzy, znajomości środowiska i doświadczenia. Życzę w imieniu swoim i całej redakcji "HB", żeby długie lata cieszyła się Pani zdrowiem, taką młodzieńczą werwą i pięknym wyglądem i znalazła czas na wymarzone podróże, lektury odkładane 'na później", naukę języków obcych, upiększanie działki - i realizację wszystkich planów i marzeń związanych z odejściem z pracy.

Jeśli sensem życia człowieka jest pozostawienie po sobie śladu, dokonanie zmiany w zastanej rzeczywistości, ulepszenie czegoś i zapisanie się w ludzkiej pamięci- to Pani Maria Hipnarowicz może być dumna ze swoich osiągnięć. Poświęciła wiele lat nie na robienie spektakularnej kariery, a na tworzenie lepszego świata dla swoich wychowanków, na prostowanie zagmatwanych dróg życiowych. Swoją wiarą i optymizmem zarażała innych, dawała przykład- nie myśląc o sobie, budowała pomnik trwalszy niż kamień- pomnik wznoszony w ludzkich sercach z wdzięczności, najtrwalszy i najwartościowszy. Przez tyle lat związana ze szkołą, była jednym z jej fundamentów- teraz stanie się wzorcem, symbolem poświęcenia, ciepłym wspomnieniem.

"Nie mów nam żegnaj, mów: do widzenia"- Pani Mario, proszę o nas nie zapominać!

Violetta Nowak

LEKARZ RADZI

JACEK GRĄDKIEWICZ

Przyjmując zaordynowane przez lekarza leki zwykle nie wiemy o tym, jak wiele czynników ma wpływ na powodzenie zapisanej kuracji. Piszę o tym, gdyż o skutecznej terapii decydują różne detale, między innymi : stopień wchłaniania leku i zależność od przyjmowanych pokarmów i płynów. Nie zawsze w gabinecie lekarskim pytamy, jak przyjmować lekarstwa, na czczo czy po jedzeniu? Popijać sokami, mlekiem czy wodą? A to bardzo ważne! Lek przyjmowany niewłaściwie może nie działać - przykładem antybiotyki z grupy makrolidów (***Rulid, Rovamycyna, Davercin***), które powinny być przyjmowane wyłącznie na czczo, tj. około dwóch godzin przed lub po jedzeniu. Podawane w trakcie posiłku nie dają żadnych efektów działania! Podobny efekt przynosi jedzenie produktów mlecznych lub popijanie mlekiem tetracyklin (***Vibramycyna, Doxycyclina***), bo tworzące się wówczas sole wapnia są nierozpuszczalne.

Leki występują w różnych formach : tabletek, kapsułek, proszków. Tabletki niepowlekane można zazwyczaj dzielić, kruszyć, rozpuszczać. Wiele z nich nawet tego wymaga, np. popularna aspiryna czy pyralgin. Rozpuszczone, pokruszone mniej drażnią żołądek. Inna sprawa jest z tabletkami w polewie - pod żadnym pozorem nie należy ich dzielić. To samo z czopkami. Lekarstwa doustne wchłaniają się w żołądku i (lub) w jelicie cienkim. Jeśli przyjmujemy leki podwyższające pH żołądka, np. ***Ranigast, Ranisan lub Ulfamid***, musimy się liczyć z tym, że połknięte równocześnie inne tabletki będą dłużej "leżały" na żołądku, gorzej się wchłoną, ba - mogą nawet podrażnić jego błonę śluzową. A to spowoduje zgagę, nudności, bóle brzucha i brak działania. Nie przyjmujmy leków oznaczonych jako tabletki dojelitowe lub symbolem - EN po posiłku (np.***Sulfasalazin EN, Bestpirin, NaproxEN***)! Czas opróżniania żołądka z pokarmu jest znacznie dłuższy (nawet do kilku godzin), leki więc mogą nie zadziałać, a ujawnią swoje działania niepożądane.

Preparaty żelaza (***Hemofer, Sorbifer Durules, Ascofer***) zażywać należy wyłącznie między posiłkami, popijając je wodą! Popijanie ich sokami a zwłaszcza herbatą jest kardynalnym błędem - garbniki w herbacie uniemożliwiają ich wchłanianie. Dotyczy to również preparatów witaminowych dla dzieci zawierających żelazo. Nawyk picia herbaty może mieć w tym wypadku zgubny wpływ na leczącego się z powodu niedokrwistości (anemii).

Na czczo powinny być generalnie zażywane leki przeciwalergiczne, jak ***Hismanal, Claritine, Mizollen, Kestine***. Wyjątek stanowi ***cetyryzyna (Zyrtec, Allertec, Virlix***), działająca niezależnie od przyjętego pokarmu.

Zwracam uwagę na równoczesne przyjmowanie lekarstw z alkoholem . Wbrew pozorom nie jest to marginalne zjawisko. Szczególnie groźne w następstwach może być zażywanie leków uspokajających, pochodnych popularnego ***Relanium (Signopam, Nitra- i Oxazepam, Elenium)*** i alkoholu. Może skończyć się dla ryzykanta nawet wyłączeniem ośrodka oddechowego i śmiercią! Zawsze istnieje też ryzyko uszkodzenia wątroby i nerek.

O tym, czy mięso z grilla ma wpływ na leczenie astmy i co powoduje serek Camembert u chorujących na nadciśnienie tętnicze, dowiecie się Państwo w następnym odcinku "Lekarz radzi", do przeczytania którego zachęcam za dwa tygodnie.

WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI

Czy kto widział, mili moi,
Słonia, co się muchy boi?
Albo żółwia, który tańczy rock and rolla?
Piszącego wiersze lisa?
Fokę, która gra w tenisa?
Lub delfina pijącego coca - cola?

Lwa, co tylko gruszki jada?
Myjącego nogi gada?
Żbika, który po robocie grywa w brydża?
Wronę, która znaczki zbiera?
Lub zająca - bohatera?
Albo wydrę, co się nigdy nie rozwydrza?

(anonim z "Księgi Nonsensu" z 1975 roku)
Czy Romea, co bez skrzydeł z Julią hasa?

(redakcyjni grafomani w 2001r.)

ŻYCZYMY DUŻO SZCZĘŚCIA ZAKOCHANYM, A WSZYSTKIM POZOSTAŁYM CZYTELNIKOM TEGO, BY WIDZIELI ŻYCIE - PRZYNAJMNIEJ OD CZASU DO CZASU - TAKIM, JAKIM WIDZĄ JE ZAKOCHANI
REDAKCJA

WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI WALENTYNKI

O zacnych helanach, paniach i panach...

Artykuły pod takim tytułem, zwięźle opisujące dokonania ludzi, których los na trwałe splótł się z historią miasta, drukował nasz dwutygodnik, kiedy szefował mu Sylwester Ostrowicki. Postanowiliśmy naszkicować postać pierwszego redaktora naczelnego, zachowując niezmienioną formę notki biograficznej, w jakiej cykl niegdyś na łamach zaistniał.

Sylwester Ostrowicki nie urodził się w Helu, ale związał się z miastem przez układy rodzinne. W 1949 roku wziął ślub w helskim kościele. Swoją żonę, Halinę z d. Dawidowską, poznał na studiach. Z wykształcenia jest historykiem; ukończył studia na Wydziale Historyczno - Filozoficznym Uniwesytetu Poznańskiego. Był spikerem Polskiego Radia i Telewizji w Poznaniu; ma za sobą ponad piętnaście lat pracy przy mikrofonie. W latach sześćdziesiątych los rzucił go na Wybrzeże. Pracował w Interclubie, placówce kulturalno - oświatowej dla marynarzy polskich i zagranicznych mieszczącej się w Gdyni, przy 10 Lutego. Jaśnieje, opowiadając o tych czasach. Poznał morze i związanych z nim ludzi o niepospolitych osobowościach, między innymi Eugeniusza Kwiatkowskiego, twórcę polskiej gospodarki morskiej.

Potem, jak mówi, porzucił ambicje zawodowe i zajął się w Helu drobnym biznesem. Zbudował tu pierwszy po wojnie prywatny dom.

Zaangażował się w działalność polityczną. Został przewodniczącym założonego w 1989 roku Komitetu Obywatelskiego Solidarność. - Powstanie KOS - u spowodowało w Helu małą rewolucję - wspomina pan Sylwester. - Dążyliśmy do tego, aby Hel stał się wolnym miastem. W ankiecie skierowanej do mieszkańców zapytaliśmy, czy chcą, aby Hel został miastem otwartym i czy powinien odzyskać dostęp do cypla. Zebraliśmy ponad tysiąc podpisów. Kiedy w 1990 roku KOS wygrał wybory do samorządu, pan Ostrowicki objął z dniem 15 sierpnia funkcję burmistrza. Był nim przez półtora roku, do uzyskania praw do emerytury, uważał bowiem, że rządy powinni przejąć ludzie dynamiczni, lecz młodsi.

Przez trzy lata był korespondentem Telewizji Gdańskiej. Współpracował stale z rozmaitymi czasopismami, m.in. z Dziennikiem Bałtyckim, prowadził Echo Ziemi Puckiej. Przez dwa lata pełnił funkcję redaktora odpowiedzialnego HB.

Pozostaje bardzo aktywnym człowiekiem: bierze udział w pracach Komisji Społecznej miasta. Jest współorganizatorem imprez kulturalnych: koncertów muzycznych, plenerów dla studentów poznańskiej i krakowskiej ASP, rajdów samochodowych. W tym roku chce zorganizować w Checzy Kaszubskiej przegląd twórczości amatorskiej helan oraz wystawę zbiorów helskich hobbystów.

Otrzymał nagrodę Fundacji Polcul, która od chwili powstania Solidarności honoruje zasłużonych dla kraju Polaków. Wśród laureatów Polcul - u znaleźli się m.in. Adam Michnik,

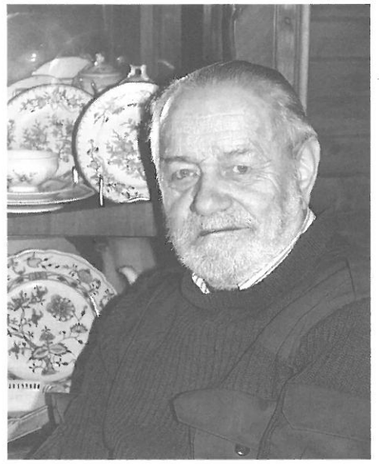

Andrzej Drawicz, Tadeusz Mazowiecki, Zbigniew Herbert, Stefan Bratkowski, ks. Arkadiusz Nowak, Bronisław Geremek. Jan Nowak - Jeziorański w książce "Polska wczoraj, dziś i jutro" w rozdziale "Ludzie dobrzy jak chleb" napisał: "...Polcul wyróżnił Sylwestra Ostrowickiego, który położył wielkie zasługi w zagospodarowaniu swojej małej ojczyzny, jaką jest dla niego półwysep i miasto Hel."

- Osiągnąłem wszystkie cele, które powinien osiągnąć mężczyzna - uśmiecha się pan Sylwester. - Zbudowałem dom, wychowałem dzieci, posadziłem drzewo...

Agnieszka Grądkiewicz

BABA ZA KIEROWNICĄ !

Jak zdobyć upragnione prawo jazdy, gdy jest się ssakiem w spódnicy, czyli kobietą (czytaj babą)? Graniczy to chyba z cudem. Wykłady na kursie nauki jazdy, podręcznik kierowcy kat. B, znaki drogowe pionowe i poziome, testy - to wszystko drobiazg, który baba ma w małym palcu, więc egzamin teoretyczny zdany od razu. Gorzej z praktyką. Już pierwsza jazda pozbawia babę złudzeń, że teoria idzie w parze z praktyką. Samochód, nad którym się nie panuje, żyje własnym życiem, znaki drogowe utrudniają zamiast ułatwiać jazdę (np., są źle ustawione i mało widoczne), przejazdy przez tory są tak zarośnięte krzewami, że chyba trzeba się zderzyć z lokomotywą, żeby ją zobaczyć (szczególnie na skrzyżowaniu w Helu) i wreszcie karkołomne dziury w jezdniach i kałuże z niespodzianką, czyli głęboką wyrwą. Ale to wszystko drobiazg w porównaniu z emocjami jakie czekają babę w centrum Gdyni, gdzie odbywają się jazdy szkoleniowe. Auto nadal przypomina narowistego konia i nie wiadomo jak z nim postępować. Zaprawdę trudno zachować zimną krew, gdy zewsząd wyją klaksony, a instruktor wrzeszczy głośniej niż trzeba. Widać, samochód też ma serdecznie dość, bo gaśnie w najmniej odpowiednim momencie. Pierwsze 20 godzin jazdy (tyle obejmuje opłacony kurs - ok. 900 zł)) to w zasadzie bezowocna walka z tyczkami i liniami na placu manewrowym oraz przygnębiająca świadomość, że stanowi się zagrożenie na drogach. Drugie 20 godzin jazdy, które wykupuje się dodatkowo (1godz. - 40 zł), to nawiązywanie przyjaźni z samochodem i instruktorem, który zaczyna mówić ludzkim głosem. Odkrywamy, że nie tylko instruktor, ale i auto ma duszę, określone potrzeby i przyzwyczajenia, reakcje, że należy mu się (samochodowi,

nie instruktorowi!) przynajmniej tyle zainteresowania, ile okazujemy partnerowi w tańcu. I staje się cud - samochód mnie słucha! Ale zanim pojadę do Gdyni na drugi egzamin z jazdy, (za każdy poprawkowy egzamin płaci się prawie 70 zł), decyduję się na trzecie 20 godzin za kierownicą, tym razem już własnego auta. Bowiem rachunek ekonomiczny jest prosty: zaoszczędzam nie tylko na opłatach za dodatkowe lekcje, ale i na dojazdach do Gdyni (każdorazowy wyjazd to 20 zł na bilety autobusowe). Tylko gdzie mam ćwiczyć i doskonalić swoje umiejętności?! W Helu nie mamy żadnego placu, ani odpowiedniego parkingu, więc decyduję się na leśne drogi. I tu niespodzianka, okazuje się, że wszystkie są terenami wojskowymi (?!), z których przepędzana jestem bezlitośnie i straszona żandarmerią oraz kolegium. Raz kozie śmierć, wszak po czymś jeździć muszę, więc wjeżdżam tyłem do lasu żeby nie widzieć wojskowych tablic. Skutecznie omijam przepis, ale widać za karę wpadam do niewidocznego, bo zarośniętego trawą, głębokiego rowu. Na szczęście żołnierze wynoszą z rowu auto - 1300 kg mojego zmartwienia.

Do pierwszego egzaminu z jazdy przystępowałam traktując samochód jak wroga, filmowego "Obcego". Przystępując do drugiego podejścia, traktuję auto jak dobrego znajomego, jeśli przyjdzie mi zdawać trzeci raz (wszak do trzech razy sztuka!) - będziemy już, mam nadzieję, partnerami... Mam też jeszcze jedną, inną cichą nadzieję, że nigdy nie usłyszę "baba za kierownicą".

Iwona Rusajczyk

Listy
od czytelników

Komu w Helu przeszkadza przedszkole publiczne?

Przedszkole: tu dzieci jedzą, leżakują, bawią się, uczą, beztrosko spędzają czas. Nie twierdzę, że jest im "jak u mamy", bo wcale nie o to chodzi. Przedszkole i dom rodzinny mają się uzupełniać po to, by dzieci rodziców pracujących miały zagwarantowaną opiekę, jedynacy - towarzystwo rówieśników, nieśmiali - okazję do wyzbycia się tej cechy, a wszystkie maluchy - bogatsze, ciekawsze dzieciństwo.

Gminy zwołują narady na temat bezpieczeństwa. Przedszkole zaprasza policjantów, żeby opowiedzieli dzieciom o swojej pracy, przestrzegli je przed niebezpieczeństwami na drogach publicznych, nauczyli je jak się zachowywać, gdy zaczepia je ktoś obcy. A policjant, który żartuje, pozwala dotknąć munduru i pozuje z grupą do zdjęcia - jest fajny!

Gmina zatrudnia pełnomocnika ds. promocji miasta. Nauczycielki z przedszkola wysyłają na konkursy prace swoich wychowanków - dzieci zdobywają nagrody. O Helu usłyszeli na całym Pomorzu. To przedszkolacy promują Hel. (I foki i "Plebania").

Od lat nie oglądamy grosza na podnoszenie kwalifikacji zawodowych nauczycielek. Mimo to dwie koleżanki skończyły studia magisterskie. Od kilku lat korzystamy z bardzo dobrych podręczników dla 6-latków Joanny Białobrzeskiej wydawanych przez "Didasko". Uważamy, że warto przekonać nauczycielki ze szkoły do kontynuowania pracy w oparciu o podręczniki tej samej autorki w klasach I - III. Dlatego dyrektorka przedszkola zorganizowała spotkanie nauczycieli wczesnej edukacji z przedstawicielką wydawnictwa "Didasko" - panią Lidią Kamińską.

Bywamy na imprezach organizowanych dla dzieci i młodzieży. Bardzo nas drażni, gdy ktoś "prosi" widzów o spokój i uwagę. Kiedy w przedszkolu występują dzieci, widzowie - bez różnicy; mali czy dorośli - przeżywają te występy razem z "artystami" i ktoś, kto przeszkadza innym, okropnie się tego wstydzi.

Ciągłe braki finansowe doprowadziły do tego, że nie zapraszamy już aktorów z objazdowymi teatrzykami. Siąść i płakać? Ależ skąd!

Przedstawienia tworzą nauczycielki, rodzice, a ostatnio - same dzieci. Często o tym informujemy na łamach "Helskiej Blizy".

O tym, że helskie przedszkole publiczne dobrze spełnia swoją funkcję są przekonani prawie wszyscy; dzieci, ich rodzice, nauczyciele szkoły.

A tymczasem na ostatniej sesji minionego roku Rada Miasta podjęła uchwałę o likwidacji placówki. Martwi mnie krótkowzroczność władz miasta, dla których bieżący rachunek ekonomiczny jest ważniejszy od kosztów społecznych takich decyzji.

Nieprawda, że robią to w interesie dzieci i ich rodziców. Czy można spodziewać się, że nauczyciel, pracując o połowę dłużej niż dotąd, zarabiając o połowę mniej niż dotychczas, będzie pracował dwa razy lepiej?

Chciałabym też wiedzieć, na jakiej podstawie pan burmistrz twierdzi, że prywatne przedszkole może być tańsze dla rodziców i jednocześnie przynosić zyski osobie prowadzącej?

Skoro to taka "kura znosząca złote jajka", to dlaczego Rada i zarząd Miasta tak skrupulatnie chce się jej pozbyć?

Jestem zdecydowanie przeciwna likwidacji przedszkola publicznego. Będzie to strata nie do odrobienia dla helskiej społeczności.

Sylwia Bleja
nauczycielka Przedszkola Miejskiego w Helu

P.S.

Dziękuję p. Zbigniewowi Rotcie za mądry list. Gdyby istniało takie Centrum, mniej mielibyśmy patologii społecznych i walka z nimi byłaby łatwiejsza.

Podzielam również przerażenie pana Skóry brakiem wyobraźni ludzi odpowiedzialnych za wycinkę drzew w naszym mieście. Ciekawe co jeszcze oprócz drzew i przedszkola wytnie "miłościwie nam panująca" Rada Miasta Helu.

Narodziny przemocy - c.d.

Wracam do sprawy, którą opisałam w liście wydrukowanym w poprzednim numerze "Blizy", ponieważ ma ona dalszy ciąg. Otóż dwa tygodnie po incydencie doszło do spotkania p.p. dyrektor i pedagog z matkami obu uczniów w obecności wychowawczyń klas, do których chodzą chłopcy. Wcześniej zdarzenie było omawiane przez Radę Pedagogiczną. Otrzymałam zapewnienie, że temat przemocy będzie poruszany z uczniami przez osoby kompetentne, podobnie jak narkomania i inne patologie społeczne.

Tak mniej więcej wyobrażałam sobie reakcję szkoły na podobną sytuację, tylko myślałam, że nastąpi wcześniej. Ale... "lepiej późno niż wcale".

Kiedy uczeń ściąga na sprawdzianie albo przezywa kolegę, wtedy wystarczy reakcja każdego nauczyciela. Kiedy jednak problem przerasta młodego człowieka potrzebny jest ktoś, kto wysłucha, oceni obiektywnie, doradzi. Tak pojmuję rolę pedagoga szkolnego. Jest taka umiejętność, którą szczególnie cenię w stosunkach międzyludzkich - to EMPATIA. W/g "Słownika Wyrazów Obcych" Wł. Kopalińskiego jest to... "umiejętność wczuwania się w położenie innej osoby..." Tę definicję dedykuje osobom, które profesjonalnie zajmują się pomaganiem innym.

Zbulwersowana (już nieco inaczej)
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Helskiej piekarni "OLA"
za pieczywo dla ptaków
w imieniu wróbli, mew i innych skrzydlatych
serdecznie dziękuję

stały klient

W numerze 2 z dnia 26.01.2001 r. "Helskiej Blizy" ukazał się list "Zbulwersowanej" pt. "Narodziny przemocy", w związku z którym "akuszerki pomocy" czują się w obowiązku dorzucić kilka wyjaśnień.

Szanowna "Zbulwersowana". Przemoc nie rodzi się dzisiaj. Ona po prostu istnieje. Rodzi się w rodzinach, w bliskim otoczeniu najmłodszych dzieci, w środowisku, kraju i zawsze ma swoje przyczyny. Jest niestety w domach, przedszkolach, szkołach i na ulicach - chociaż nie zawsze głośno się o niej mówi. Przybiera różne rozmiary i różne formy (nie zawsze fizycznej przemocy czego przykładem jest m.in. list "Zbulwersowanej").

Wbrew oskarżeniu i nam często trzeba podejmować walkę z przemocą przy pomocy dostępnych środków i w ramach naszych uprawnień.

W sprawie, którą "Zbulwersowana" porusza sądzimy, że błędem było nie zgłoszenie zajścia na policję. Pobicie miało przecież miejsce o godz. 18.00 na ulicy. Napastnik został rozpoznany, prawdopodobnie byli świadkowie zajścia. Natomiast wg "Zbulwersowanej" "wezwanie policji mogło być uznane za głupi kawał, a poza tym nie chodziło o zemstę, tylko o powstrzymanie brutala na przyszłość"?

Czyli lepiej "umyć ręce" niż narażać się, zbagatelizować sprawę osobiście i zwalić winę na szkołę. W ten właśnie sposób dla świętego spokoju przyzwalamy na przemoc i wcale nie chronimy swoich pociech. Nie chcemy zwracać się do stróżów porządku publicznego by chronili nasze bezpieczeństwo i gdy trzeba powstrzymywali brutali. Wymagamy, by załatwił to za nas ktoś inny.

Wracając do sprawy. Poszkodowany uczeń zgłosił w szkole fakt pobicia, które miało miejsce po lekcjach, poprzedniego dnia wieczorem, w pobliżu domu na ulicy. Życzył sobie spowodowania publicznych przeprosin od napastnika. Wbrew pozorom nie został odesłany "z kwitkiem". To chyba oczywiste, że doszło do konfrontacji (czego być może nie oczekiwał). Treści rozmów z uczniami, a później z rodzicami obu chłopców objęte są tajemnicą służbową.

Co zyskał napadnięty? Zapewnienie, że chłopcy nie będą sobie wchodzili w drogę (i możemy mieć tylko nadzieję, że dotrzymają umowy). Publicznych przeprosin niestety nie udało się nam osiągnąć.

Mamy też nadzieję, że został przekonany o tym, że ze swoich praw publicznych należy korzystać, gdy zachodzi taka potrzeba. Napastnik wie o konsekwencjach karnych (których uniknął dzięki dobroci mamy poszkodowanego), jego zachowanie ocenił wychowawca, bo to jego obowiązek i prawo. Mamy również nadzieję, że chłopcy zrozumieli, że czasem w trudnych sprawach zamiast oczekiwanej satysfakcji trzeba przyjąć kompromis. Z naszej inicjatywy w obecności wychowawców odbyła się długa rozmowa również z rodzicami chłopców. Przy okazji tej sprawy poznaliśmy głębsze, całkiem poważne podłoże zajścia, pojawił się nowy problem wychowawczy, z którym musimy się uporać.

Problem został zasygnalizowany Komendzie Powiatowej Policji w Pucku, został zgłoszony dzielnicowemu i przedyskutowany na posiedzeniu Rady Pedagogicznej.

Aby uchronić młodzież przed nowymi zagrożeniami, podejmujemy odpowiednie działania profilaktyczno - wychowawcze, które realizowane będą przy pomocy profesjonalistów w najbliższych miesiącach.

Uważamy, że zrobiliśmy ze swej strony to, co w ramach naszych kompetencji było możliwe.

Zachęcamy rodziców do dzielenia się z nami swoimi opiniami, poglądami i oczekiwaniami. Zgłaszajcie problemy do wychowawców klas, bo oni powinni najlepiej znać swoich uczniów i współpracować z rodzicami. W trudnych sprawach wychowawcę wspiera pedagog szkolny. Jesteśmy gotowi do konstruktywnego dialogu. Tylko konstruktywnie rozwiązane konflikty wzmacniają współpracę.

Pedagog szkolny
i wicedyrektor ZSO

List Pana Zbigniewa Rotty - próba odpowiedzi

Szanowny Panie,

Wywołany Pańskim listem do tablicy, staję posłusznie i odpowiadam zgodnie z posiadaną wiedzą.

1. Każdy ma prawo do formułowania własnych ocen i głoszenia swoich poglądów. Nie będę odnosił się do Pańskiego planu wybudowania w Helu Miejskiego Domu Kultury, Rekreacji i Sportu im. księcia Świętopełka (II). Mam nadzieję, że na najbliższej sesji Rady Miasta Helu zostanie podjęta uchwała w sprawie przystąpienia do opracowania strategii rozwoju miasta do roku 2020. W trakcie prac każdy z mieszkańców będzie miał prawo zgłosić wszystkie swoje pomysły, plany i wizje dotyczące przyszłości gminy. Liczę, że Pański pomysł trafi do tego strategicznego planu i zostanie przyjęty do realizacji. Zapraszam Pana na sesję, która odbędzie się 14 lutego 2001 roku.

2. Nie wiem, skąd czerpie Pan swoje wiadomości, ale jako przewodniczący Rady Miasta nie starałem się nigdy, aby Lasy Państwowe i Urząd Morski przekazały swoje grunty miastu. Wspólnie z burmistrzem Helu, prawie od początku kadencji, staramy się o przekazanie naszej gminie gruntów, na których znajdują się :

- studnie (planowane komunalne ujęcie wody),
- miejska oczyszczalnia ścieków,
- przepompownia ścieków (P III),
- budynek przeznaczony dla stacji uzdatniania wody.

Wymienione pierwsze trzy działki stanowią własność Skarbu Państwa i faktycznie znajdują się w zarządzie Ministerstwa Obrony Narodowej. Na tych gruntach znajdują się obiekty komunalne, wybudowane przede wszystkim za pieniądze z budżetu gminy. Na działce, na której usytuowane są studnie, chcemy jeszcze w tym roku rozpocząć inwestycję, która zdecydowanie ma poprawić jakość wody dostarczanej do naszych domów. Tych gruntów po prostu nie da się podzielić na działki i sprzedać. Zapraszam Pana do zwiedzania tych miejsc - proszę tylko wyrazić zgodę i podać termin, ja zorganizuję przewóz.

3. Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego jest Pan przeciwny sprzedaży działek tym, którzy chcą je kupić, wybudować domy i pensjonaty, związać swoje życie i przyszłość z naszym miastem. Ja nie widzę w tym nic złego, wręcz przeciwnie - jest to najlepszy sposób na rozwój naszego miasta, tworzenie nowych miejsc pracy i przysparzanie pieniędzy do budżetu gminy. Jestem naprawdę bardzo zdziwiony, że publicznie występuje Pan z apelem do różnych instytucji, aby nie przekazywać gruntów naszej gminie. Można oczywiście wyznawać zasadę psa ogrodnika pilnującego ogrodu: "Sam nie zjem i nikomu nie dam", ale czy warto?

4. Osobiście zawsze podziwiałem mieszkańców Jastarni i ich osiągnięcia. Mam tam wielu dobrych znajomych. Dzielą się oni swoimi doświadczeniami, bywają często u nas w Helu. nie wszyscy zapewne wiedzą, że mieszkańcy Jastarni, radni powiatowi, panowie Zbigniew Chmaruk i Mieczysław Konkol wraz z naszym Tadeuszem Mużą, od 2 lat skutecznie zabiegają o pieniądze z budżetu centralnego na inwestycję prowadzoną w helskim porcie rybackim. Przy wszystkich ocenach należy jednak brać pod uwagę uwarunkowania wewnętrzne i zewnętrzne. Też chciałbym, aby w naszej gminie była taka kura znosząca złote jajka, jaką była (i jest) Jurata, z licznymi ośrodkami wypoczynkowymi, min. byłego Komitetu Centralnego i Komitetu Wojewódzkiego PZPR. O sukcesach decydują przede wszystkim ludzie, dlatego wszystkich, którzy mają pomysły i chcą działać dla dobra miasta i jego mieszkańców zachęcam, by startowali do władz samorządowych różnych szczebli, do rad, sejmiku i zarządów: gminy, powiatu i województwa. Są też inne możliwości - np. działalność w Stowarzyszeniu "Przyjaciele Helu", Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy czy Zrzeszeniu Kaszubsko - Pomorskim. Pola społecznej działalności są szerokie i otwarte. I w tym kontekście pozwolę sobie nie zgodzić się z Pańską oceną radnych wszystkich kadencji, burmistrzów i członków zarządów miasta od początku przywrócenia samorządności w naszym kraju, czyli od 1990 r.

Jeżeli zaś chodzi o emerytów i rencistów, to w Radzie Miasta (18 radnych) jest ich 7. Być może o 7 za dużo. Na pewno byłoby lepiej, gdyby w radzie więcej było ludzi młodych. Oni lepiej rozumieją współczesny świat. Jednak trochę doświadczenia też może się przydać. Ale o tym decydują głosy wyborców.

Z poważaniem

Tadeusz Klajnert

PRESSiJA

Przed nami trzeci, kolejny trudny rok reformy służby zdrowia. Parlament w ostatnim czasie wprowadził szereg nowelizacji i poprawek do tzw. ustawy zdrowotnej. Inne wejdą niebawem w życie. Co oznacza to dla nas, pacjentów, pisze Elżbieta Cichocka w Gazecie Świątecznej z 20-21.01 br. A jak wybrać kasę chorych i lekarza, dowiemy się z drukowanego w tym samym numerze z cyklicznego poradnika. O praktycznych zaś konsekwencjach reformy donosi raczej minorowy w wyrazie felieton Doroty Romanowskiej (nr 3 Wprost).

Gabriel Garcia Marquez jest znany milionom czytelników na świecie. Wielbiciele twórcy "Jesieni patriarchy" nie mają na ogół pojęcia, z jakiego klimatu politycznego wyrosła estetyka jego prozy. Pisząc o nim w zajmujący sposób, Artur Domosławski w Gazecie (20-21.01.), stawia interesującą tezę, że życiem i postawą pisarza kierował kompleks "trzecioświatowca". I że ów paradoksalnie zadecydował o bogactwie jego stylu pisarskiego. Można się z tym zgodzić lub nie, warto jednak przeczytać. Marquez jest zresztą autorem słów : " życie czyjeś nie jest tym, co człowiek przeżył, ale tym, co i jak wspomina". Dlatego idąc za ciosem Gazeta Świąteczna (27-28.01.br) publikuje pierwszą część autobiografii cieszącego się niesłabnącą na świecie popularnością pisarza. Lubiącym literaturę w ogóle, polecam ciekawy wywiad z Jonathanem Carrollem, odsłaniający kulisy tak prywatnego życia, jak i jego twórczości (Playboy 1\01). A do lektury ostatniej pozycji w dorobku Rolanda Topora, mistrza czarnego humoru i satyry zachęca Helena Zaworska we Wprost (3\01). Topor bowiem, jako jeden z niewielu, potrafił śmiać się ze śmierci, do.. śmierci.

Wbrew utartym opiniom, najbliższa nam historia nowożytnej Europy, wcale nie jest dobrze poznana. Dowodem na to schematy myślenia, obiegowe sądy i uproszczenia w odniesieniu do dziejów Polski i jej stosunków z sąsiadami, np. z Ukraińcami, którzy raczej źle niż dobrze egzystują w polskim pejzażu dziejowym. A to za sprawą między innymi UPA, czy

osławionej SS Galizien (Hałyczyna). Fascynującą rozmowę na temat genezy powstania i udziału w wojnie tej ostatniej formacji wojskowej, z ukraińskimi historykami przeprowadzili reporterzy Gazety Świątecznej (nr 23\01). Polecam nie tylko poszukiwaczom i pasjonatom historii, ale i powtarzającym plotki o rzekomym udziale w dławieniu Powstania Warszawskiego ukraińskiej dywizji waffen-SS.

Jacek Grądkiewicz

PASKI NA FLADZE

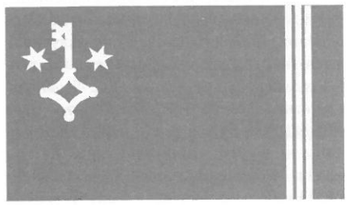

Jako że obywatelowi miasta wypada się interesować poczynaniami rajców miejskich, w których wyborze miał swój udział (niezupełnie, bo mój kandydat nie przeszedł - a szkoda), to z wielkim zainteresowaniem czytuję opisy kolejnych sesji Rady Miasta, zamieszczane przez Helską Blizę.

Zafrapował mnie fragment sprawozdania z XXVIII sesji, tyczący wyglądu helskiej flagi i barwnej dyskusji o trzech czy czterech paskach, połączonej z wątkiem detektywistycznym zaginionego załącznika. Ileż inwencji, ileż elokwencji ojców miasta - sprawozdawca p. W. Waśkowski napisał, że dyskusja na ten temat zajęła sporo miejsca w porządku obrad i wzbudziła pewne emocje.

Zostawiając emocje na boku, chciałbym skonstatować, że wystarczyłby jeden telefon.

W 1996 roku, ówczesna Rada Miasta zwróciła się do nas, czyli do Alicji i Jarosława Czyszków, z prośbą o przedstawienie projektów ujednoliconego herbu miasta oraz przedstawienie projektów flagi miejskiej. Pierwsze wynikało z tego, iż nie było dotychczas ustalonego wzoru herbu, w tym szczególnie rysunku klucza i kształtu gwiazd, które przybierały różne formy w zależności od fantazji wykonawców. Drugie zaś, ze zdrowej chęci promocji, reprezentowania i dekorowania miasta w tych wszystkich przypadkach, kiedy wystawienie w oknach tarcz herbowych byłoby kłopotliwe.

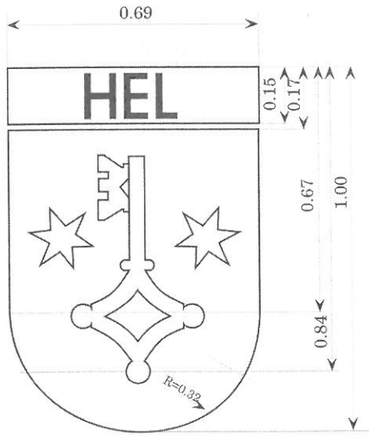

Copyright Alicja Czyszek 1996

Ponieważ już uprzednio podobną pracę - czyli przygotowanie gotowych wzorów herbu i flagi jako integralnego załącznika uchwały Rady Gminy - wykonaliśmy na zlecenie UM w Jastarni, zwrócono się z tym do nas i w Helu.

Ponieważ ani Rada Miasta, ani my nie chcieliśmy tworzyć żadnych bytów wirtualnych, ani też frymarczyć tak godnym symbolem, którym jest ów klucz o kilkusetletniej tradycji, postanowiliśmy możliwie wiernie odtworzyć jego wygląd z najstarszej helskiej, zachowanej pieczęci. Tutaj z pomocą przyszedł p. M. Kuklik, który przedstawił nam jej wizerunek, niestety mocno zamazany patyną wieków. Kształtu klucza przyszło się bardziej domyślać niźli ściśle wzorować, niemniej końcowy efekt wypadł możliwie wiernie.

Aby jednak nie narzucać swojego wyobrażenia i pozostawić decydujący głos rajcom, przedstawiliśmy Radzie dwanaście rozmaitych projektów wzoru rysunku klucza, z których trzy nawiązywały do najbardziej wówczas rozpowszechnionej wersji "długiego" klucza, zaś dziewięć - nieznacznie różniących się szczegółami, było kolejnymi przybliżeniami wzoru odciśniętego na pieczęci.

Z flagą był pewien kłopot. Według prostych wzorów heraldycznych, powinna być uproszczeniem herbu w ten sposób, by oddawać jego kolory. W efekcie jednak otrzymaliśmy wzór w postaci dwukolorowej flagi żółto-niebieskiej. Słowem: barwy MZKS Arka Gdynia. Mimo że klub ten miał w tym czasie licznych w Helu zwolenników, było to nie do przyjęcia. Postanowiliśmy zatem uprościć kolory w ten sposób, że na niebieskim polu - symbolizującym tło herbu, umieściliśmy trzy żółte paski mające odzwierciedlać dwie gwiazdy i klucz. Wówczas jednak flaga wydawała się zbyt uboga, dołączyliśmy zatem klucz z gwiazdami, w ten sposób otrzymując na jednej fladze jakby podwójne zaakcentowanie symbolu miasta. Pierwowzorem takiego sposobu przedstawiania jest nasza bandera narodowa, która heraldycznie także powtarza dwa razy to samo. Helowi bandera jest bliska, a flaga miejska zyskała tym samym na wyrazistości.

Także w tym przypadku przedstawiliśmy kilka propozycji, w tym niektóre nieco humorystyczne m.in. taką z czterema paskami, która w luźnej interpretacji miała symbolizować helskie dominium nad pozostałymi miejscowościami półwyspu, a także z jednym grubszym, aby trochę połechtać silne w naszym mieście sentymenty wojenno morskie. Dyskretnie jednak popieraliśmy projekt z trzema paskami (a także i konkurencyjnie inny zupełnie) i taki też Rada Miejska ostatecznie przyjęła.

Jeśli załącznik do uchwały zaginął (a był w dwojakiej formie; raz na papierze w kolorowym wydruku, a dwa; w formie elektronicznej, na dyskietce) to pozwalam sobie wspomóc z lekka zagubionych urzędników i załączam całość - tym razem czarno/białą, do tego listu.

Dlaczego o tym piszę, mocno się rozwodząc - szanujmy swoją historię, swoje decyzje i decyzje innych. W zeszłym roku Urząd Miejski

rozpowszechnił na zamówionych drogowskazach, w dziesiątkach egzemplarzy wizerunek herbu miasta wg swojego widzimisię, a nie wg uchwały Rady Miasta, która go obowiązuje. W sumie - duperel, ale jakże charakterystyczny...

I jeszcze akcent humorystyczny. Otóż w owym czasie zajmowaliśmy się także drukiem rozmaitych gadżetów, flag, proporczyków etc. Dostaliśmy zatem zamówienie na druk kilku flag w wersji maxi. Ponieważ jednak nasze największe sito było za małe by móc wydrukować owe trzy paski za jednym zamachem na całej szerokości tkaniny, to uprościliśmy sobie sprawę pozostawiając na marginesach po kilka centymetrów niebieskiego płótna.

Błąd ten, z uporem godnym lepszej sprawy, jest powtarzany na wszystkich następnych - już nie naszych, dodrukach.

I na koniec zagadka, skoro załączniki zaginęły, a sprawy oczywiste są przedmiotem długich debat ojców miasta, to ciekaw jestem, czy Rada Miasta wie, do kogo należą prawa autorskie wizerunku flag, którymi obwiesza swoją siedzibę.

Z poważaniem

Jarosław Czyszek

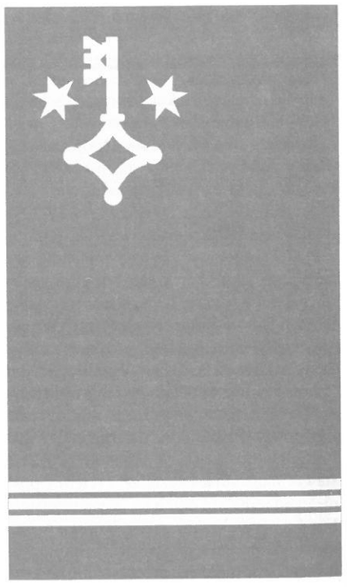

WIEŚCI Z RATUSZA

WYDATKI RATUSZA

Od burmistrza Helu otrzymaliśmy informację o wydatkach Urzędu Miasta. Na rok 2001 wydatki związane z utrzymaniem Urzędu Miasta zaplanowano w wysokości 822.782,00 zł.

W kwocie tej mieszczą się:

- wynagrodzenia osobowe pracowników - 426.150,00 zł (w tym wynagrodzenie Zarządu Miasta - 114.336,00 zł)
- składka na ubezpieczenie społeczne - 82.650,00 zł
- składka na Fundusz Pracy - 13.732,00 zł
- wydatki inwestycyjne (zakup oprogramowania) - 10.000,00 zł
- pozostałe wydatki bieżące - 290.250,00 zł, w tym wynagrodzenie nieetatowego członka Zarządu - 15.592,00 zł.

Pozostałe wydatki to między innymi: opłaty pocztowe, rachunki telefoniczne, energia elektryczna, woda, zakup oleju opałowego, zakup artykułów biurowych, ubezpieczenia obiektów, utrzymanie samochodu, zatrudnienie na umowę zlecenie (radca prawny), podróże służbowe, szkolenia, literatura fachowa, itp.

Wynagrodzenie członków Zarządu Miasta:

1. Burmistrza (brutto/netto) - 5.644,00/3.774,00 zł
2. Zastępcy Burmistrza - 3.884,00/2.620,00 zł
3. Nieetatowego Członka Zarządu Miasta - 1.216,00 zł.

Postanowiłem sprawdzić, jak kształtują się zarobki władz w innych gminach naszego powiatu. I tak:

- w Jastarni burmistrz otrzymuje wynagrodzenie w wysokości (brutto/netto) - 6.549,00/ 4.371,50 zł, a jego zastępca - 5.376,00/3.598,98 zł,
- we Władysławowie: burmistrz - około 5 tys. zł, a jego zastępca - ok. 4.100,00 zł (netto),
- w Pucku: burmistrz - 5.082,30 zł, a jego zastępca - 4.176,07 zł (netto).

W Urzędach gminnych zarabiają odpowiednio:

- w Pucku: wójt - 7.450,00, zł, a jego zastępca 6.230,40 zł (brutto)
- w Kosakowie: wójt - 6.211,80 zł, a zastępca - 5.106,40 zł (brutto).

Niestety, nie udało mi się ustalić zarobków władz gminy Krokowa. Zastępca wójta odmówił udzielenia takiej informacji przez telefon, jak również przesłania jej faksem. Jak stwierdził, wie, że sprawy o które pytałem, zgodnie z ustawą o finansach publicznych są jawne, lecz nie chciał zmienić swego stanowiska. Otrzymałem zaproszenie do Urzędu Gminy, gdzie po okazaniu delegacji i legitymacji dziennikarskiej otrzymałbym interesujące mnie informacje - telefon nie wchodził w grę. Bywały lata, że w gminie Krokowa bywałem kilkanaście razy w roku, dzisiaj to dla mnie całodzienna wyprawa. Nie wykluczam jednak, że przy jakiejś okazji skorzystam z zaproszenia.

Zdobycie tych danych wbrew pozorom nie było łatwe. Chociaż dzwoniłem do "wyższych rangą" pracowników urzędów (skarbnika lub sekretarza), padały pytania: a po co mi to potrzebne, co z tym zamierzam zrobić itp.

Żadnych problemów nie stwarzano w UM Jastarnia, UM Puck i UG Kosakowo. Również w powiecie nie czyniono tajemnicy z zarobków starosty: brutto/netto - 8.190,00/5.220,00 zł. O zarobki jego zastępcy nie zapytałem.

W.W.

CZY MIESZKAŃCY HELU BĘDĄ ZARZĄDZAĆ PORTEM RYBACKIM?

15 czerwca 1998 r. ówczesna Rada Miasta Helu, na swojej ostatniej sesji, upoważniła Zarząd Miasta do podjęcia wszelkich czynności mających na celu nieodpłatne nabycie na rzecz Gminy Miasta Helu, gruntów stanowiących własność Skarbu Państwa, położonych na terenie portu.

Po blisko dwóch latach od podjęcia tej uchwały, 24 maja 2000 r., na wniosek radnego Ryszarda Groenwalda, rozpoczęliśmy działania, których celem miało być powołanie komunalnego zarządu portu rybackiego. W tej sprawie odbyło się kilka spotkań, w których brali udział m.in. przedstawiciele rybaków, Gdyńskiego Urzędu Morskiego, dyrektorzy wydziałów Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego, pracownicy PUP "Koga", radni powiatowi i miejscy, członkowie Zarządu Miasta oraz pracownicy.

Sprawie przyszłości helskiego portu rybackiego poświęcono znaczną część debaty "Wszyscy dla Helu" z udziałem Marszałka Sejmu, posłów, Marszałka Województwa Pomorskiego i Wojewody Pomorskiego. O roli małych portów w rozwoju gmin mówiliśmy na spotkaniu w Związku Miast i Gmin Morskich w Gdańsku, które było poświęcone nowelizacji ustawy o portach i przystaniach morskich. Uwieńczeniem tych działań stało się sporządzenie wniosku do Wojewody Pomorskiego o przekazanie gruntów Skarbu Państwa, położonych w granicach morskiego portu rybackiego w Helu oraz w granicach nowo projektowanego portu, w celu utworzenia przez Gminę Hel podmiotu zarządzającego portem.

Tuż po świętach Bożego Narodzenia, 27 grudnia 2000 r., delegacja naszego miasta, wiceprzewodniczący Rady Ryszard Groenwald i burmistrz Helu Mirosław Wądołowski, złożyli stosowny wniosek na ręce Wojewody Pomorskiego Tomasza Słowińskiego.

W uzasadnieniu wniosku i opinii prawnej napisano m.in.:

"Zasada samorządności terytorialnej wyraża się w prawie i zdolności społeczności lokalnej, w granicach określonych prawem, do kierowania zasadniczą częścią spraw publicznych na ich własną odpowiedzialność i w interesie mieszkańców, dlatego też przekazanie przez Wojewodę Pomorskiego gruntów na cel będący przedmiotem niniejszej opinii - utworzenie podmiotu zarządzającego portem w Helu - stanowiłoby wyraz realizacji tej zasady.

Nie przyjęcie przez rządową administrację ogólną rozwiązań zawartych w opinii będzie świadczyło o tym, że ludność kaszubska, helscy rybacy, uprawiający od wieków i znający najlepiej trudne rzemiosło - pracę na morzu - zostaną pozbawieni wpływu na zarządzanie morskim portem rybackim w Helu".

Tak więc decyzja należy do Wojewody Pomorskiego. Mamy nadzieję, że będzie ona pomyślna dla naszego miasta.

Tadeusz Klajnert

PAZURY Z PLASTYKU I SZKLANE PACIORY

Piotr Kita, nauczyciel z helskiej szkoły, znany fanom zespołu "Plebania", dawno zainteresował się kulturą Indian. Spotkaliśmy się w styczniowy, mglisty wieczór, słuchaliśmy indiańskiej muzyki i rozmawialiśmy o...

Czym jest polski ruch przyjaciół Indian?

Nieformalną, otwartą grupą ludzi, którym przyświeca jeden cel: poznawać i propagować kulturę Indian - bez składek, legitymacji, obowiązkowych zebrań. Każdy może zacząć i skończyć, kiedy zechce, ponieważ nie oczekuje się od niego obietnic pieczętowanych krwią.

Poznałeś nestora ruchu, Sata Okha, syna indiańskiego wodza i Polki.

On rozpalał wyobraźnię wielu ludzi. Pływał na statkach, odwiedzał w Stanach rezerwaty, a gdy wracał, chwalił się tym, co zobaczył, przeżył, przywiózł i dorabiał kolejne rozdziały do swojej legendy.

Dociekliwi kwestionowali tę legendę. Czy Sat, tak barwnie opisujący w autobiograficznej "Ziemi Słonych Skał" dzieciństwo wśród Indian, może być Indianinem z wyboru jak Brytyjczyk, Szara Sowa?

Ignoruje się, z szacunku wobec Sata, wszelkie sensacyjne pogłoski o jego pochodzeniu, bo ważne jest, kim się stał, co zrobił. Stanowi kwintesencję, by tak rzec, indiańskości, podczas gdy w Stanach żyje wielu Indian zamerykanizowanych, których pozbawiło tożsamości kulturowej skrajne ubóstwo lub - przeciwnie - dążenie do awansu społecznego. Niejeden nastolatek z plemienia Lakota obecnie nie różni się niczym od polskiego kolegi: je hamburgery, ogląda kreskówki od rana, chodzi w dżinsach.

Zapytany o początki zainteresowań, odpowiadasz: - Już w dzieciństwie?...

...malowałem szminką barwy wojownika, nosiłem za pasem tłuczek do mięsa z siekierką, wycinałem z papieru mokasyny, lecz bardzo dużo czasu upłynęło, zanim uświadomiłem sobie, ile zyskam wymieniając z innymi doświadczenia, przedmioty, informacje. W Sopocie kupiłem "Tawacin", napisałem pod podany tam adres i natychmiast dostałem odpowiedź.

"Tawacin" polecasz jako źródło wiarygodnych wiadomości.

Jest profesjonalnym, dostępnym w Empiku, periodykiem prowadzonym przez ludzi o rzetelnej wiedzy. Pismo, zgodnie z preferencjami redaktorów, stara się przede wszystkim mówić o tym, jacy Indianie są obecnie, choć publikuje też sporo artykułów o przeszłości: felietonów, tłumaczeń poświęconych historii obyczajów, obrzędów i strojów. Przestrzegam tych, którzy spodziewają się na łamach przygód Winnetou. Tam opowiada się o prawdziwym Indianinie, a nie o wyimaginowanych postaciach Maya czy konwencjonalnej amerykańskiej figurze z cygarem w zębach sprzed sklepu tytoniowego.

foto. Andrzeja Sługocka

Indianin w przeciętnej wyobraźni składa się z orlego nosa, pióropusza, tomahawka, jeździ na mustangu wydając dzikie okrzyki, poluje na bizony i dyliżanse; bizony je, pasażerów skalpuje. Czy Ciebie ten stereotyp drażni czy śmieszy? A może nie odbiega tak bardzo od prawdy?

Stereotypy w kulturze masowej są zjawiskiem tak normalnym, że nie przyśpieszają mi pulsu. Sprzedaje się to, co najjaskrawsze, najbardziej malownicze, dlatego śpiewy przy ognisku i pióropusz kojarzą się z Indianami, a nie ma miejsca w naszych wyobrażeniach na adobe - nie mniej przecież indiańską cegłę z suszonej na słońcu gliny, z której budowało się pueblo. Z tych samych powodów długowłosy Indianin w pióropuszu z Równin nadawał się bardziej do powieści, komiksów czy obrazów Catlina niż Kapitan Jack (Kint Puash) z plemienia Modoc - kulejący brzydal z krótkimi włosami odziany w bawełnianą koszulę. Z uproszczonym wizerunkiem masz do czynienia zarówno w westernach, gdzie widzisz złego czerwonoskórego, który ściga dyliżans z dobrymi białymi, jak i w "Tańczącym z wilkami", gdzie pokazuje się uduchowionego, dobrego Indianina uciskanego przez białych prostaków. Stereotyp, o którym mówisz, jest częściowo prawdziwy, ale w odniesieniu do pewnej grupy plemion zamieszkującej ograniczony obszar Ameryki. Wydarzenia zmieniające bieg historii, o których krzyczały nagłówki w prasie, z udziałem historycznie najważniejszych, najbardziej wojowniczych plemion Dakotów, Apaczów prowadzących walkę do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia, tworzyły mit Indianina. Nieporozumieniem natomiast są określenia typu woda ognista, plujący dymem koń czy grzmiące kije - wymysły rodem z Maya.

Nie obruszasz się na paciory i pazury grizzly z plastyku. Dlaczego?

Kiedyś koszule, suknie wyszywało się nie paciorkami, tylko zmiażdżonymi i barwionymi kolcami jeżozwierza. Później zastąpiły je o wiele wygodniejsze i barwniejsze paciory szklane. Obecnie rdzenni Indianie używają do wytwarzania ozdób i tradycyjnych przedmiotów plastyku, sztucznych włókien, ceraty, farbowanych piór gęsich zamiast orlich. Dlaczego miałbym widzieć fałsz tam, gdzie oni go nie dostrzegają? Symbolika, znacząca kolorystyka pozostały niezmienione. Dziś z oryginalnych surowców wykonuje się tylko przedmioty służące celom obrzędowym, a niedźwiedzie się chroni, nie zabija.

Czym zajmujecie się oprócz indywidualnego gromadzenia wiedzy i przedmiotów? W jaki sposób obcuje się w Polsce z kulturą indiańską?

Spotykamy się wiosną, latem, jesienią. W Sztumie znajdują się Opiekunowie Świętych Fajek i tam odbywa się mnóstwo imprez edukacyjnych: wykłady, odczyty, projekcje, pokazy, wystawy, spotkania z ludźmi. Niektóre uczą o rzeczach pożytecznych i najbardziej przystępnych dla Europejczyka: jak korzystać z dóbr natury, jak się w niej znaleźć. Prawie nic te sprawy nie mają wspólnego z bizonami i pióropuszami, za to bardzo wiele z ekologią. Sun Bear, Indianin z plemienia Chippewa, który był w Polsce, udzielał czysto ekologicznych wywiadów. Może to nie będzie barwnie brzmiało, ale ten człowiek, rdzenny Indianin, przypominał o tym, że warto zakręcić wodę, zgasić światło w pomieszczeniu, w którym się nie przebywa.

Indiańska religia, myśl, stały się potrzebne?

Niektórym, tylko niektórym.

Spotkania edukacyjne to nie wszystko. Organizujecie też zloty, a w Gołuchowie fiestę. Czym one różnią się od siebie?

Zlot, bardzo hermetyczny - o co wielu ma pretensje - odbywa się w miejscach mało dostępnych, z dala od szlaków komunikacyjnych. Dociera się do nich wąskimi ścieżkami, pod górę, przez błoto, między innymi dlatego, żeby zniechęcić ciekawskich. Zlot jest dla tych, którzy chcą spędzić jakiś czas w sposób, w jaki Indianie żyli kiedyś. Można na niego spojrzeć jak na długie wielkie święto plemienia. Dzieją się tam obrzędy, narady, tańce, gry. Podczas zlotów obowiązuje rygor życia plemiennego, niemile widziane są pewne zachowania charakterystyczne dla białej cywilizacji. Działa policja obozowa, która ma prawo używając drastycznych sposobów wyrzucić niezdyscyplinowanych. Obwoływacz z bębnem zwołuje mieszkańców obozu. Uczestnicy starają się - jak widać - jak najbardziej zbliżyć do oryginału. Na fiestę w Gołuchowie wstęp ma każdy, ona jest imprezą swobodniejszą, bardziej familijną.

Bardzo podzielone są opinie na temat zbieractwa. W ruchu znajdzie się liberałów i konserwę.

Wyobraź sobie koncert znanej i świetnej kapeli punkowej. Przychodzą ludzie słuchający tej muzyki, w większości wyposażeni we wszelkie atrybuty punk rocka, czyli - wyglądający jak powinni. Wchodzi na scenę zespół kultowy: kolesie wyglądają całkiem normalnie w bluzach, dżinsach, trampkach. Grają muzykę, ludzie ich uwielbiają, bawią się świetnie, mimo że zespół, czyli ci, którzy wiedzą o punk rocku sporo, pocą się na ten temat właśnie, ubrali się zwyczajnie, ewentualnie mają jakiś drobiazg, coś, co świadczy o przynależności. Nie potrzebują tych wszystkich rzeczy podkreślających odrębność czy manifestujących poglądy. Tak samo jest z indianistami, którzy nie muszą uzewnętrzniać swoich potrzeb, zainteresowań. Dla nich zbieranie przedmiotów nie ma sensu. Niektórzy uważają, że nie powinno się ich zbierać, bo jest to tabu i powinni zajmować się tym tylko pełnej krwi Indianie. Jeżeli interesujesz się tematem, masz prawo i obowiązek czytać literaturę, gromadzić informacje, ale - to zdanie podziela wielu - rzeczy nie powinny być przez ciebie używane, bo mimo wszystko ciągle jesteś...

Profanem?

Nazwijmy to profanacją.

A inicjowanie obrzędów związanych z wierzeniami?

Są tacy, którzy odprawiają ceremonie, nawet te wymagające zaawansowanej wiedzy. Jestem nie wrogiem, ale przeciwnikiem obrzędów: nie do pojęcia dla nas, dlaczego trzeba przesypać w tym właśnie momencie tych kilka garści puchu czy ziemi w to właśnie miejsce. Nie lubię wkraczać w rejony, które nie dla mnie przeznaczono. Nie wiem, czy wolno uzurpować sobie prawo do rytuałów religijnych ludzi, którzy żyją tysiące kilometrów stąd, myślą zupełnie inaczej, mają inną historię i co innego w genach.

Mirosław Bogusz mieszkający z przyjaciółmi i rodziną w wiosce indiańskiej pod Białymstokiem, powiedział: - Leń nie zasługuje na to, żeby go życie ogrzewało. Czy to pogląd charakteryzujący samego Bogusza czy znamionujący myśl indiańską?

Dla Indian ogromny wysiłek stanowił konieczność, bez której by nie przetrwali, a nie - cnotę; może właśnie dlatego Indianie byli wygodni i cenili czas wolny przeznaczony na odpoczynek. Pracowitość to ulubiona cecha Bogusza.

Jaką cechę indiańskiej kultury duchowej uznałbyś za najtrafniej oddającą jej odrębność?

Postrzeganie natury w zupełnie obcy nam sposób. Indianin nie zna martwych przedmiotów: wszystko żyje, ma duszę. Biały czuje się panem ziemi, Indianin jej dzieckiem i w ślad za takim sposobem widzenia świata idzie umiejętność życia z nim w harmonii, szacunek do ziemi.

Wspomniałeś wcześniej o amerykanizacji Indian. Część z nich jednak pielęgnuje obyczaje przodków.

Stąd wzięły się panindiańskie spotkania pow - wow bez orientacji plemiennej. Ludzie, których kataklizm na tle rasowym odarł z tożsamości, dążą teraz do tego, aby mieć przeszłość. Uczą się własnej historii z zaangażowaniem o wiele silniejszym niż my.

W jednym z filmów dokumentalnych Indianka, której pradziad był wielkim wodzem, kobieta na wskroś nowoczesna, która skończyła psychologię, płakała mówiąc o tym, jak kaleczymy ziemię. Ten obraz mógłby spuentować nasz wieczór?

Tak.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Agnieszka Grądkiewicz

P.S. Zainteresowanym tematem podajemy adresy kontaktowe:

1."Tawacin"
Marek Maciołek
Ul. Łąkowa 3
64 - 050 WIELICHOWO

2."WABENO"
Marek Cichomski
Ul. Babina 4/ 16
62 - 800 KALISZ

PALCE LIZAĆ

Podajemy dziś karnawałowy przepis dla wszystkich, którzy myślą , że dobra zabawa jest jeszcze lepsza, jeśli włożymy w nią trochę pracy. Życzymy owocnego ugniatania!

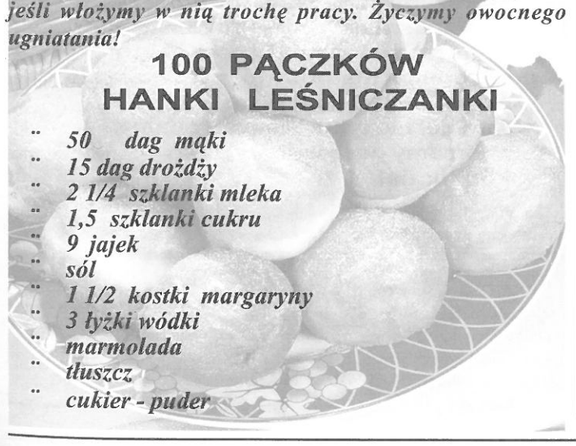

PRZYGOTOWANIE

Mąkę przesiać do miski. Drożdże rozmieszać z 9 łyżkami ciepłego mleka, 3 łyżkami cukru i 3 łyżkami mąki. Zrobić wgłębienie w mące, wlać w nie ciepłe mleko, drożdże, przykryć i pozostawić do wyrośnięcia. Jajka ubić z cukrem na parze, stopić tłuszcz. Do wyrośniętego rozczynu dodać ciepłą masę jajeczną, stopiony tłuszcz oraz trzy łyżki wódki i sól. Ciasto wyrabiać (ok. 800 razy). Odstawić do wyrośnięcia. Kiedy ciasto podwoi swoją objętość, wykładamy je na stół i oddzielamy szklanką równe porcje. Każdą kolejną miarkę ciasta kładziemy na lewej dłoni i kciukiem drugiej robimy wgłębienie, do którego wkładamy łyżeczką marmoladę. Lekko wgniatamy i zalepiamy dziurę. Formujemy kulkę. Na blat posypany mąką kładziemy pączki, przykrywamy bawełnianą serwetą i czekamy, aż zrobią się ładne i duże. Największe pączki smażymy w pierwszej kolejności w głębokim oleju. Żeby nie chłonęły tłuszczu, wrzucamy ćwiartkę jabłka. Kiedy sczernieje, wymieniamy na następną. Oprószamy cukrem pudrem lub oblewamy lukrem.

Smacznego!

Uprzejmie informuję, iż od dnia 12 sierpnia 2001 r. odbędzie się

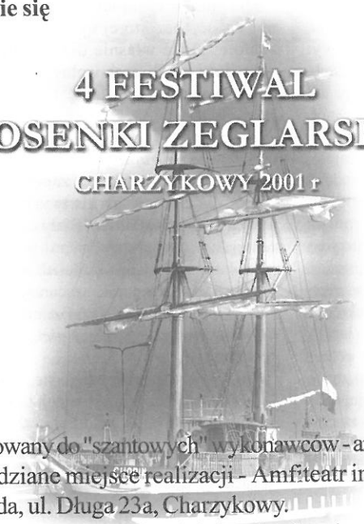

skierowany do "szantowych" wykonawców - amatorów. Przewidziane miejsce realizacji - Amfiteatr im Ottona Weilanda, ul. Długa 23a, Charzykowy.

Regulamin zgłoszenia udziału w konkursie oraz kartę zgłoszenia otrzymają Państwo w Urzędzie Miasta w Helu w pokoju nr 21, natomiast dodatkowe informacje pod nr tel. 675 05 45.

Daria Ziółkowska

KONKURS ROZSTRZYGNIĘTY

Na ogłoszony w poprzednim numerze "HB" konkurs dla posiadaczy największej ilości egzemplarzy Helskiej Blizy odpowiedziało kilkanaście osób. Czytelnicy dzwonili, przesyłali listy i faksy.

Zwycięzcami zostali:

Sylwia Bleja

Franciszek Kosznik

Łukasz Trytek

Posiadają oni wszystkie dotychczas wydane numery naszej lokalnej gazety.

Zgodnie z zapowiedzią przyznajemy im roczną bezpłatną prenumeratę "HB".

Zwycięzców proszę o kontakt celem uzgodnienia sposobu odbioru gazety. Pozostałym uczestnikom konkursu postaramy się pomóc w uzupełnieniu kolekcji o brakujące numery - o ile oczywiście będziemy w ich posiadaniu.

W imieniu redakcji
W. Waśkowski

Nie wolno zapomnieć, że ponad czteroletnią historię Helskiej Blizy współtworzyli również jej dystrybutorzy, właściciele helskich kiosków i sklepów. Bez ich bezinteresownej życzliwości o wiele trudniej byłoby nam dotrzeć do czytelników. Dziękujemy serdecznie:

p. Bimczok, p. Brukalskim, p. Cieślak, p. Janiak, p. Kleban, p. Pokrzywka, paniom ze sklepu "Beata", za dyskretne, przez wielu nie dostrzegane, wspieranie naszego dwutygodnika.

Redakcja

Ogłaszamy konkurs bez ograniczeń wiekowych, dla pojedynczych osób i dla całych rodzin, dla szkoły i dla domu. Będzie trwał przez cały rok. Chcemy, aby Bliza - dzięki Państwa wspomnieniom, przyczyniła się do odtwarzania historii miasta i jego mieszkańców i mamy nadzieję, że czytelnicy przychylnie przyjmą propozycję redakcji. Czekamy na prace na temat

"DZIEJE HELSKICH RODZIN"

Mile widziane, oprócz tekstu, drzewa genealogiczne oraz dokumentacja fotograficzna, w których stworzeniu ofiarujemy pomoc (Jaką? zainteresowanym wyjaśnimy szczegółowo). Fragmenty interesujących materiałów zamierzamy - w miarę ich napływania - publikować w Blizie, a najciekawszym pracom, w nagrodę, chcielibyśmy nadać formę książkową. Zachęcamy zatem do szperania w rodzinnych albumach, dokumentach i pamiątkach, do rozmów o przeszłości ze starszymi członkami rodziny i do spisywania własnych wspomnień. Życzymy powodzenia w podróżach po osobistej historii, która wplatała się w życie Helu. Dzięki Wam przetrwa w pamięci nie tylko Waszej rodziny. Zapraszamy gorąco do udziału w konkursie!

Redakcja

Wydawca: Stowarzyszenie "Przyjaciele Helu". Nasze konto: Bank BPH SA O. w Gdyni 10601754-320000257768. Adres redakcji: Bulwar Nadmorski 2, 84-150 Hel. Kontakt telefoniczny/fax: (0-58) 675 09 05
Zespół redakcyjny: Agnieszka Grądkiewicz, Marcin F. Jędrzejczak, Ryszard Kretkiewicz, Mirosław Kuklik - red. naczelny, Violetta Nowak, Iwona Rusajczyk, Wojciech Waśkowski. Opracowanie graficzne: Ryszard Kretkiewicz.
WYDAWNICTWO "MS" - tel. 672 51 53 nakład 550 egz.DRUK: Drukarnia "EWA-DRUK' - tel. 672 67 71
gazeta w internecie: www.helbliza.prv.pl

Foto: Ryszard Kretkiewicz

O PRZYSZŁOŚĆ HELU

W dniu 27 stycznia, już po raz trzeci w ciągu roku, gościliśmy w Helu posła Jana Kulasa, członka Sejmowej Komisji Finansów Publicznych.

W towarzystwie władz miasta zwiedził on oddaną niedawno do użytku oczyszczalnię ścieków. Zapoznano go z problemami związanymi z pozyskaniem gruntów, na których znajduje się ten obiekt oraz przepompownia ścieków P - III (przypominamy - znajdują się one na terenie KPW Hel).

W sali posiedzeń Rady Miasta Helu, w spotkaniu z posłem wzięli udział min.: starosta Powiatu Puckiego Artur Jabłoński, radni powiatowi Zbigniew Chmaruk, Mieczysław Konkol, Tadeusz Muża, burmistrz i przewodniczący Rady Miasta Helu, a także komisarz "Kogi" dr inż. Krzysztof Kochlewski.

Zebrani powitali posła jako przyjaciela Helu, który w swej pracy poselskiej zawsze odnosił się życzliwie do wszystkich zamierzeń, jakie realizowaliśmy w naszym mieście.

Dyskutowano o przyszłości portu helskiego, o planowanym skróceniu czasu prowadzonej w nim inwestycji, a także o innych problemach naszego regionu. Burmistrz poinformował posła o podjętych inicjatywach zmierzających do utworzenia przez gminę podmiotu handlowego do zarządzania (w miejsce PUP) portem w Helu. W maju ma się odbyć w naszym mieście dwudniowy Kongres Miast i Gmin Nadmorskich, a jedna z komisji tego kongresu zajmować się będzie sprawą przekształceń w portach. Na spotkaniu mieliśmy też okazję poznać nowo powołanego komisarza Kogi, który rozpoczął swą działalność z dniem 1 stycznia 2001 r.

Dr Kochlewski w swym wystąpieniu stwierdził, że Hel jest dla niego symbolem i wartością ponadregionalną. Jak mówił *"sytuacja portu jest trudna i wymaga zaplanowania konsekwentnych działań w dłuższym horyzoncie czasowym". "Wszyscy jesteśmy zainteresowani skróceniem czasu realizacji inwestycji w porcie. Na dzień dzisiejszy nie opowiem Państwu o wizji rozwoju portu - miałem na to zbyt mało czasu. Mam wizję, ale wymaga ona sprawdzenia i skorygowania. Jestem specjalistą od restrukturyzacji przedsiębiorstw. Zapoznam się z sytuacją i stworzę diagnozę".* A gdy poseł Kulas poprosił go o informację po sprecyzowaniu zamierzeń, komisarz odparł: *"Jestem człowiekiem, który się stara zawsze dotrzymywać słowa".*

Jan Kulas zapoznał zebranych z problemami zaistniałymi w związku z planowanym budżetem w części dotyczącej zwłaszcza naszego województwa. Zaprosił władze powiatu i miasta na posiedzenie Sejmiku Wojewódzkiego w dniu 29 stycznia.

Następnie zebrani udali się do "Kogi Maris" na spotkanie z rybakami i przedstawicielami przedsiębiorstw funkcjonujących na terenie portu.

W.Waśkowski

29 stycznia, sejmik pomorski przeznaczył 350 mln zł na inwestycje realizowane w naszym województwie. Program Operacyjny Rozwoju Województwa Pomorskiego na lata 2001 - 2002 radni przyjęli bez głosów sprzeciwu (31 za, wstrzymało się 5). Dwie z planowanych inwestycji dotyczą nas bezpośrednio. Są to:

1. Odbudowa i modernizacja falochronów, pirsów i nabrzeży w porcie rybackim w Helu. Szacunkowy koszt inwestycji - 22,7 mln zł (pieniądze z programu wsparcia),
2. Modernizacja drogi wojewódzkiej nr 216 Reda - Władysławowo - Hel. Szacunkowy koszt - 38,5 mln zł (w tym: program wsparcia - 27 mln zł, budżet województwa - 6,5 mln zł i budżety gmin - 5 mln zł). Program ten przewiduje min. budowę ścieżek rowerowych na odcinku Władysławowo - Hel.

W.W.

<u>Dlaczego mieszkańcy Helu musieli zainwestować w budowę pawilonów przy ul. Wiejskiej, a przyjezdni mogą prowadzić sprzedaż z przysłowiowych łóżek?</u> - pytamy zastępcę burmistrza Jarosława Pałkowskiego.

To nie tak. Przy ul. Wiejskiej zlikwidowano targowisko istniejące na wysokości dawnego "Pagrusa". Zgodnie z propozycją Zarządu Miasta ogłoszono przetarg ograniczony, w pierwszej kolejności dla mieszkańców Helu. Jego zwycięzcy wybudowali w tym miejscu w/g jednolitego projektu pawilony handlowe. Sam przetarg wzbudził duże zainteresowanie. Przed podpisaniem umowy dzierżawy (na trzy lata) sporządzono protokół uzgodnień, podpisany przez każdego z zainteresowanych. Nie ma w nim mowy o doprowadzeniu do pawilonów, na koszt Urzędu Miasta, energii elektrycznej. Pisała o tym Bliza w numerze z 8 grudnia ub.r. Nie zobowiązywaliśmy się do tego w umowach dzierżawnych, ani też w żaden inny sposób. W pobliżu jest złącze kablowe i stacja transformatorowa, więc nic nie stoi na przeszkodzie, aby właściciele pawilonów po uzyskaniu zgody Zakładu Energetycznego, doprowadzili do nich na własny koszt energię elektryczną. Do postawionych obiektów nie ma możliwości doprowadzenia wody ani odprowadzania z nich ścieków i dzierżawcy doskonale o tym wiedzą.

<u>A co z handlem łóżkowym?</u>

Wyznaczone do targowania miejsce znajduje się przy ul. Bulwar Nadmorski i Morskiej. Nie udzielaliśmy zgody, na, jak pan to nazwał, sprzedaż łóżkową przy ul. Wiejskiej. Nie mamy jednak wpływu na handel prowadzony na prywatnych działkach, które nie są własnością gminy. Od handlujących inkasent może jedynie pobierać opłatę targową w wysokości ustalonej przez Radę Miasta. W okresie sezonu letniego wyraziliśmy jedynie zgodę na prowadzenie przy ul. Wiejskiej sprzedaży pocztówek, okularów i innych drobnych przedmiotów i pamiątek.

W.W.

Jak nieoficjalnie ustaliłem, koszt przyłączenia energii elektrycznej do pobudowanych pawilonów, przy wspólnej inwestycji wszystkich użytkowników, nie powinien przekroczyć kwoty kilkuset zł na osobę.

LECZENIE DRZEW

Zarząd Miasta zlecił wykonanie inwentaryzacji ilościowej i jakościowej miejskiego drzewostanu firmie POLPARK z Pucka kierowanej przez Mariana Potrykowa. Inwentaryzacja dotyczyć będzie całego obszaru Helu z wyłączeniem terenów należących do lasów państwowych. Pan Potrykow jest członkiem Polskiego Towarzystwa Chirurgów Drzew NOT. Opiekuje się min. drzewostanem w Rzucewie, "leczy" pomniki przyrody i ewidencjonuje zieleń.

W.W.

Numer 100

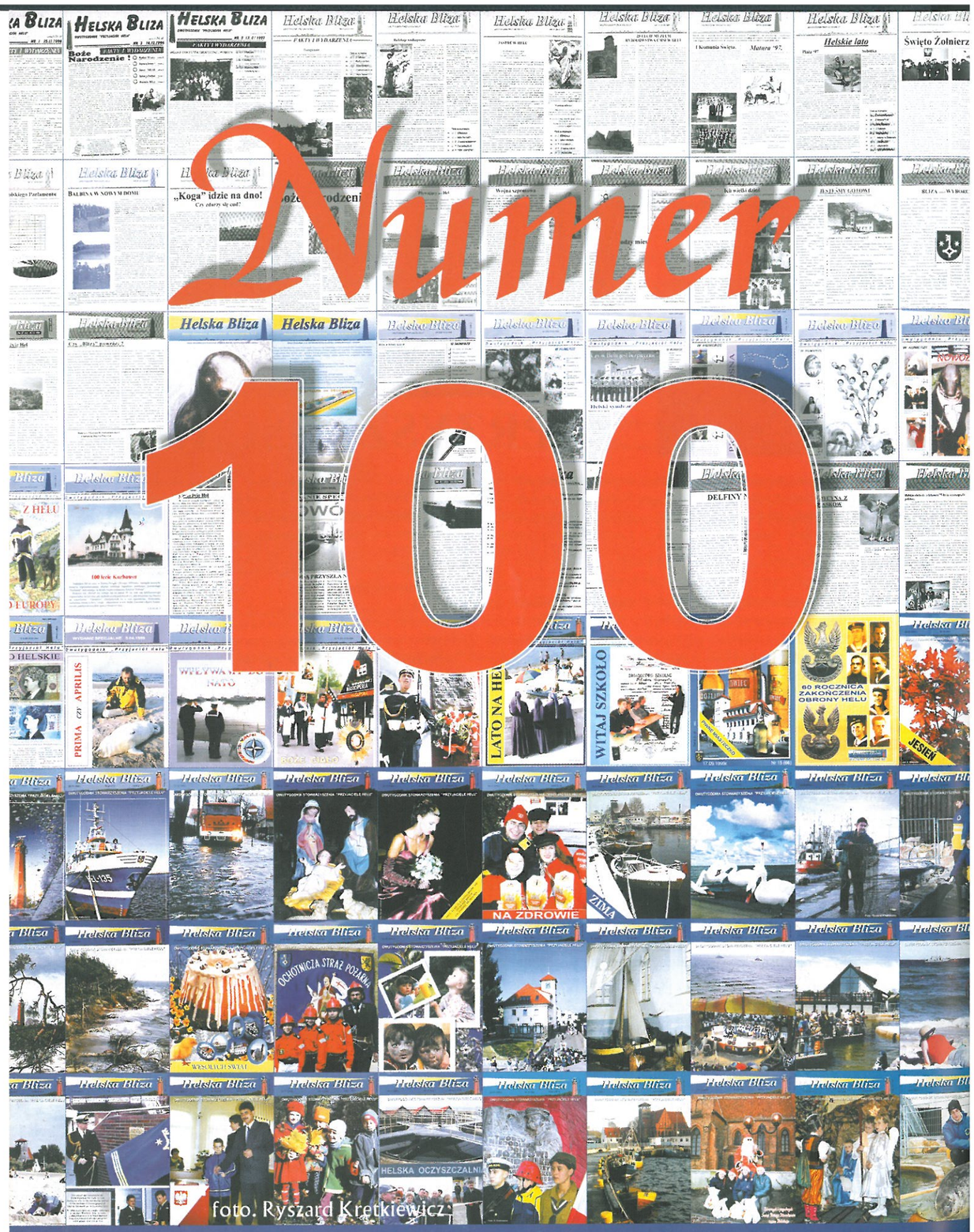

Nie zdołaliśmy na jednej stronie umieścić wszystkich 100 okładek naszej gazety. Na załączonym przykładzie widać jednak wyraźnie, że nie staliśmy w miejscu. Redagowanie "Blizy" było dynamicznym procesem twórczym, poprzez który staraliśmy się jak najlepiej i jak najestetyczniej dotrzeć do naszych czytelników.